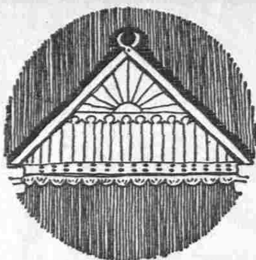
8 przemiany

1611/72 Miesięcznik społeczno-kulturalny Kielce, sierpień 1972 Nr 8/23 Rok III





Sól życia

Coraz częściej słyszy się opinie, wyrażane przez przedstawicieli różnych środowisk, iż w naszej codzienności zarysowują się objawy kryzysu postaw społecznikowskich. Jest to pozornie — a może rzeczywiście tym dziwniejsze, że najnowsza historia i teraźniejszość każdego, najmniejszego chociażby, skupiska i związku ludzi: fabryki, gromady, wioski, uczelni czy szkoły — obfituje w dowody aktywności, ofiarności, zaangażowania, obfituje czynami społecznymi.

Jakie są więc źródła, jakie motywy podobnych odczuć? Jakie obserwacje, jakie fakty legły u ich podstaw?

Pytaliśmy o to osoby cieszące się w swym otoczeniu właśnie mianem społeczników, dla których społeczna praca jest solą ich życia.

Przyjęte założenia wyjściowe i zakres uzyskanego na pewno dyskusyjnego materiału, nie pozwalają oczywiście na jakiekolwiek uogólnienia. Stanowią pewną informację zachęcającą do przemyśleń, rozwagi...

Oto, co powiedzieli nam:

JAN TASZYCKI — robotnik z zakładu przemysłowego z Kielc, lat 26: Kryzys społeczeństwa — jest. Tam, gdzie się do ludzkich potrzeb i chęci wewnętrznych, swobodnych, dobudowuje całą drabinę urzędowych, hierarchicznych szczebelków, gdzie się ze społeczeństwa robi urząd i biuro, i zawód — nie ma mowy, o takich postawach, do których i ja, i pan... No, do których się tęskni. Próbuje się wszystko zaplanować, zapisać, zatwierdzić, wszystko wycenić. Mamy głównie — że tak powiem — zawodowych społeczników. Nie, nie zarzucam im nieróbstwa... Ale ich robota jest przecież czymś innym. Za mało w niej życia, serca — za wiele rutyny. Według mnie — być społecznikiem, znaczy: działać bezinteresownie. Działać bezinteresownie — jeśli chodzi o własną osobę. Jak zaś marzyć o bezinteresowności, kiedy za każdym działaniem — znowu, zgoda: potrzebnym, słusznym — kryje się wyrachowanie, nawet do końca nie uświadomione, ale wyrachowanie? Kiedy każdy uczynek można sobie przeliczyć na plusik do awansu, na atut ułatwiający „szczebelkowanie", robienie tak zwanej kariery? Próba zdziałania czegokolwiek, pomysł, inicjatywa — pojedynczego człowieka, bądź grupy ludzi — budzi u podobnych facetów niechęć. Mąci spokój, biurowy porządeczek... Ktoś się wdziera w schludnie wytyczone rewiry! Oj, gorzkie są dni autentycznego społecznika amatora, że się wyrażę. Wkrótce — zniechęca się albo przechodzi na... etat.

MARIAN DURDA — pedagog z Końskich, lat 44: Instynkt społeczny jest naturalną cechą, jest pewnym zadatkiem, danym każdemu człowiekowi. Ów zadatek może zaowocować działaniem — bądź nie. Wszystko zależy od okoliczności. Zależy od uświadomienia sobie własnych potrzeb, potrzeb środowiska. Czasy mojej młodości znamionowała eksplozja społecznikowstwa. Zaistniały warunki, świadomość potrzeb — i rozpaliły się chęci, zdrowe aspiracje. Aby zaspokoić potrzeby — stworzyć przystępną sobie kulturę, ułatwić życie własne i innych, zerwać pokłady zła — trzeba i można działać. Dziś korzystamy z plonów tej działalności; chęci i potrzeby łatwiej zadowolić. Nastąpiło uładzenie życia — skuteczniej można zwalczyć aktualny przejaw zła, zwalczyć niejako instytucjonalnie; wystarczy go wskazać. W dziedzinie rozrywki, kultury, rekreacji — cóż: rzecz załatwia odwiedzenie sklepu, kupienie biletu, przekręcenie gałki telewizora. Stabilizacja, wzrastająca zasobność — tworzą nową sytuację. Należy ją dostrzegać i liczyć się z nią. Jesteśmy bowiem w pewnym punkcie... Wiem, upraszczam — ale jakże inaczej w krótkiej wypowiedzi na obszerny, kontrowersyjny temat? Więc znaleźliśmy: w pewnym punkcie; nadchodzi nasycenie... Nasycenie powinno wywołać przesyt. Pozytywny przesyt. Przykład? Mówiłem o instynkcie; człowiek sam chce się sprawdzać — przez działanie w grupie, wobec grupy. Człowiek pragnie być widziany, potrzebny, komuś pożyteczny. No, słusznie: tu teatr amatorski, zespół, organizacja, dyskusja, własne zdecydowanie, wyraźna aprobata, protest. Reasumując: instynkt społeczny chwilowo się nieco utaił, lecz jeszcze nie zwiądł, jeszcze nie utrwaliła się postawa biernego obserwatora, konsumenta. Tak jest. A jak będzie? Mam nadzieję — wytrzymamy. Inna sprawa, że nie zawsze potrafimy wydobyć, ukierunkować ludzkie tęsknoty. Zbyt mało mamy w terenie mądrych społecznych leaderów. Nowa sytuacja — a w omawianej dziedzinie często tkwimy we wczoraj, w przedwczoraj...

PIOTR KACPERCZYK — rolnik z pow. zwoleńskiego, lat ok. 40: Czy się uważam za społecznika? Hmm... wiem? Tak, uważam się. Ale nie przez to, że pełnię chyba z dziesięć oficjalnie zanotowanych funkcji społecznych. Tu zasadne jest — jak się coś robi, jak się coś pełni. Najgorsze — powierzchowność, rutyna. Zupełnie jednako do roboty rolnictwa. Nie wystarczy obsiać — ważne, żeby gleba była przygotowana. Ważne — czym się ją obsieje, obsadzi. Ważne — jak, kto, w jaki czas, jakim sposobem... Dzisiejsze lata sprzyjają rolnikom. Podobnie ze społecznictwem — istnieją chęci, są wyniki. Panie! — kto gada o kryzysie? Kto — zaraz: kto...? Pewnie — przy każdej aktywności, przy umasowieniu — są spalenia, potknięcia. O nich musowo mówić. Ale nie o kryzysie! Weźmy: mieszkają wciąż na wsi jednostki, które społecznie strasznie są szumne. Nawet w społecznej robocie akuratne. Tylko — rolnicy to „lebiegi" we własnej gospodarce. Owa postawa jedynie szkodzi społecznictwu, odstrasza pobliski naród od społecznego powołania. Dodatkowo powiem: bywa — jaka instytucja, urząd czy przedsiębiorstwo ma coś zrobić. A sił nie starcza albo brakuje materiału. Tedy — mobilizuje obywateli. W porządku! Zło zaczyna się później. Bo po zakończeniu — przedsiębiorstwo, czy instytucja — sobie przypisuje całą zasługę. Różne panowie biorą premie i nagrody. Tfu...! Powtarzam: zbyteczne stękać o kryzysie społecznictwa. Trzeba zaś unaoczniać kryzys cwanych, niespołecznych postaw. Piszcie, rżnijcie ostro. Weźmy się wszyscy, wspólnie. To też nasz społeczny obowiązek.

IRENA GÓRSKA — urzędniczka z Kielc, lat 24: Doprawdy nie wiem, od kogo usłyszeliście podobne twierdzenie. Kryzys...?! Odwrotnie. Teraz właśnie zaistniał odpowiedni klimat, sprzyjające warunki do ujawniania, rozwoju postaw aktywnych. Naturalnie u jednego, czy drugiego człowieka, w takim bądź innym miejscu — może nastąpić moment załamania, lokalne zakłócenia prawdziwego, prawidłowego obrazu. Ot, wyjątki — bardzo dobrze, że odczuwane jako dotkliwe! — wyjątki... potwierdzające regułę. Żebyście mnie jednak nie posądzili o tani optymizm, przyznam: czasami może społecznika trochę ostudzić zbyt pochopne odwoływanie się do jego gotowości. Chęć wysługiwania się nim. Bywa: jakaś placówka coś zawali albo komuś zwyczajnie nie chce się czegoś zrobić — wtedy sięga się po „ręce społeczne". Z jakiej racji mamy wyręczać kogoś w robocie, do której został on powołany, za które bierze nasze pieniądze? Może „w czynie społecznym" zacząć za dozorcę sprzątać klatkę schodową? Może „w czynie społecznym" opróżniać śmietniki, ryć wykopy pod fundamenty — za wylegujących się na słońcu piwoszy? Albo kruszyć skały, zastępując — „poniedziałkowo" przerzedzoną załogę kamieniołomu? Żartuję. Coś jednak jest, coś jest takiego, że...



fot. A. Żuchowski

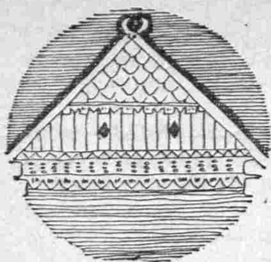
FRANCISZEK ANTONIAK — rencista ze Stąporkowa, lat 72: Wciąż — w miarę sił — działam społecznie, piastuję kilka społecznych funkcji. Dlatego, że brakuje nam społeczników. Ano... tak. Wszyscy zaraz: za ile, co ja będę z tego miał? Znaczy: co ja, ja osobiście, zyskam? Szanuję ludzkie ambicje: za robotę społeczną przyjemne jest uznanie, uznanie wyrażone przez środowisko. Przyjemnie, jeśli — dzięki mojej aktywności i wysiłkowi — ktoś otrzyma pomoc, jeśli ludzie coś stworzą, zbudują, coś sobie ulepszą, polepszą i ułatwią. Ba! Kiedy dziś wszystko można sobie zafundować. Za pieniądze! Po co się wysilać, skoro łatwo rzecz nabyć — wyciągając portfel. Wysiłek? — naturalnie. Ale wyłącznie dla brzęczącej waluty. Uznanie otoczenia też się kupuje. Zaszczyty też. Przez ilość spożywanej kiełbasy, domek, samochód — ocenia się człowieka. Tym lepszy — im więcej zjada, modniej się nosi, bogaciej mieszka, szybciej jeździ. No i ważne — z kim pije, co pije, z kim się przyjaźni. Kryzys społecznikowstwa...? Powiadam: kres!

ADAM KULIKOWSKI — uczeń szkoły zawodowej z Kielc, lat 19: Jeśli idzie o nas, o młodych — nie ma się czemu dziwić, że chłopaki unikają, boczą się i drwią z... jak pan powiada, społecznikowstwa. Z „tego" społecznikowstwa! Bo, widzi pan, często — za często — społecznikiem obwołują gościa, który sam woła najgłośniej, jednak konkretnie nic nie robi. Ani rękawów nie zakasa, ani makówki nie wysili, ani się nie narazi w słusznej sprawie. Ze społecznikowstwa tworzy się — po części: i festyny, i przedstawienie teatralne, i celebrę z protokołem oenzetu. Weźmy jakiś czyn; no, bo trzeba coś zdziałać, bo chcemy coś zrobić... Więc zaraz — Sztab Czynu, bez mała ministerstwo czynów! Więc zaraz: wstawianie spiczów, wyjaśnienia, popędzania, wychwalania, orkiestry... Panie! — skoro człowiek wymyślił, skoro postanowił coś słusznego albo coś słusznego zaakceptował — własnym, własnej gromady działaniem — nie lubi, żeby mu ktoś tłumaczył, dlaczego tak zrobił, żeby go ktoś poklepywał, uświadamiał. Jak ja chcę dowiedzieć się czegoś mądrego, to sobie poczytam mądrych ludzi, posłucham ich w telewizji. Jak chcę zobaczyć coś prawdziwego z protokołu dyplomatycznego — podobnie. Nie inaczej — rzecz z teatrem. A orkiestra — z fajnej płyty, z fajnej taśmy. Mierzi mnie bełkotliwe, napuszone naśladownictwo — popłuczyny. Śmieszą — kwiatki przy kożuchach. Brak skromności...? Odwrotnie! Tylko protest przeciw brakowi skromności! Przeciw zbyt hałaśliwym orkiestrom. Orkiestrom dętym. Głupia postawa...? Przepraszam, pan zawierza poglądom wapniaków. Ale..., ale — tu mnie pan ma. Postawa społeczna, hi — niech będzie: społecznikowska — to jest właśnie teraz postawa przyjęta przez ogromną większość ludzi. Bliska ludziom. Proszę — jak się obecnie pracuje, a? Proszę skrzywdzić człowieka — jaka będzie reakcja otoczenia, no? Niech ktoś potrzebuje, niech naprawdę potrzebuje, pomocy — otrzyma. Od młodych otrzyma. Pan z kryzysem postaw...?! Zaczyna się kryzys póz i grymasów. Dopiero się, niestety, zaczyna i niektórzy nie potrafią, nie chcą uznać faktów...

KAZIMIERZ NAPIERAJ — lekarz z pow. zwoleńskiego, lat ok. 40: Ze stwierdzeniem, że zarysowuje się kryzys postaw społecznikowskich — nie mogę się zgodzić. Wręcz przeciwnie — ja twierdzę: uczestniczymy w stałym procesie rozwojowym, tak ilościowym, jak i jakościowym... Tylko, że nie umiemy pewnych zjawisk dostrzegać, klasyfikować. Spóźniamy się — nie z uczestnictwem w określonych procesach — lecz z ich oceną. Stąd nieporozumienia. Powiem z własnej praktyki: jeszcze niedawno — bardzo pozytywnym, wymagającym poświęcenia i odwagi społecznej, przedsięwzięciem było zorganizowanie na wsi, z dziewcząt wiejskich, drużyny sportowej. „Pan doktór" rzucający „zielazem", ganiający po boisku w kusych spodenkach i gimnastycznej koszulce — dokonywał rzeczy znacznej, wymagającej samozaparcia, nadstawiał własny łeb, łamał własnym karkiem mocne bariery. Dziś lekarz stosujący podobne zabiegi realizuje dalej pozytywną pracę, lecz pracę właściwie zawodową; barier brak, dzięki usportowieniu młodzieży zmniejsza się ilość chorób. Ot, profilaktyka... Postawa lekarza nie uległa zmianie, lecz w konkretnym przypadku — ze społecznikowstwa traktowanego według dawnych kryteriów, niewiele zostało... Przyszły zadania nowe. Mówić o nich, mówić o własnej wiosce — o dokonaniach i zamiarach? Cóż — najważniejsze, że wszędzie w kraju można je znaleźć, że większość ludzi w nich uczestniczy. Codziennie — spokojnie, skromnie, bez szumu i fanfar. Kto wzdycha, załamuje ręce? Sądzę, że mała liczba ludzi przywiązanych do „stylu", przyzwyczajonych do wielkiego „hurra". Nie, niczego nie neguję, nie chcę wyolbrzymiać, ośmieszać. Po prostu: zwracamy się ku zwyczajności, naturalności postaw. Może mniej „działamy" — więcej pracujemy. Są warunki.

ANTONI KOZIOŁ — rolnik z pow. koneckiego, lat 75: Skąd wyście...?! Zobaczcie najpierw kraj wokół. Aha, to słusznie... Można zapisać: nigdy nie było w Polsce tak jak jest. Sprawiedliwa polityka — to i ludzie chętnie robią, bo dla siebie robią. Społecznie, właśnie społecznie. Prawie nie ma człowieka, ktoren by nie był społecznikiem, nie uczestniczył w pracy dla innych i siebie, w czynach... Natura ludzka zasadzona na społeczności i nasz ustrój polski o społeczność oparty. Tylko zaraz... — tylko, że czyny są różne. Może owe bałamutne gadki wynikają stąd, co gaduły nie wszystko rozumieją? Nie każdy nie zawsze musi i może budować — przecież wybudowaną już — drogę. Nie każdy i nie zawsze musi wszystko zbiorowo i krzykliwie. Społecznikowstwo polega na chęci, na trwałej czujności i gotowości stawania w potrzebie. Czasem akuratną, społeczną robotą jest, gdy jeden człowiek pomoże drugiemu człowiekowi — powie przychylne słowo, wesprze radą, wyjaśnieniem. Gdy jeden człowiek odważnie wstawi się za drugim człowiekiem, nie bacząc na własny ogródek i tyłek.

EDWARD SUSZYŃSKI — technik z zakładu przemysłowego z Opoczna, lat 31: Wszyscy koledzy, wszyscy znajomi — z którymi dawniej działałem społecznie — zostali do dziś społecznikami. Prawdziwymi, nie papierowymi.. Ja nie obserwuję ujemnych zmian w postawach. O, gdzieś wycinkowo — może rzeczywiście... W każdym razie nie ma podstaw do alarmistycznych uogólnień. Inne zagadnienie, że w miarę upływu czasu — szczególnie w związku z postępującą stabilizacją — zmieniają się metody społecznego działania. Zmienia się styl, nie postawa! Trochę żeśmy się przywiązali do obrazka społecznika..., do obrazka wymalowanego w dziewiętnastym wieku. Charytatywność, cierpiętnictwo, żawość... Istnieje też późniejsza, masowo powielana, fotografia: postura ludowego trybuna, błysk w oku, włos zjeżony, głos gromki... Nie! Teraźniejszość czegoś innego wymaga. Cierpliwości, rozsądku — umiejętności współżycia, współdziałania. Niczego nie osiągnie, niczego dobrego nie dokona, społecznik — szlachetny samotnik. Nikt nie oczekuje, żeby dzisiejszy społecznik — cokolwiek własnym kosztem... Dziś — nie własnym kosztem. Dziś — własnym i innych rozumem, własnym i innych wysiłkiem. I tak jest. Ale zaraz... Może troszeczkę za wiele mamy w społecznym działaniu pośpiechu, oschłości? To może tak. Kto wie, czy i nie stąd właśnie biorą się pewne negatywne wrażenia?



Szumią pod jodłami

Stanisław Rams

Na północnym zboczu Łysej Góry, tam, gdzie jodły stare schodzą ku miasteczku, staliśmy we trzech na murawie i gapiliśmy się w chmurzaste niebo. Wiatr przeganiał mokre obłoki, siąpiło kapuśniaczkiem, ale nas trzymała ciekawość: gdzie spadnie człowieczek, co wisi pajączkiem na nitkach spadochronu? Na kwarcyty gołoborza, palisadę z ostrych kołów, a może zawadzi o linię wysokiego napięcia? Pasjonowaliśmy się tym pytaniem, przecież dość istotnym, podczas gdy ludzikiem kołysał w górze ten wiatr.

Najpierw odezwał się gruby, wyłysiały. Widziałem go przed godziną, jak pił wódkę w baro-bufecie „Pod Skałką" i tokował na cześć czarnookiej. Najciekawsze miał teraz odzywki:

— Szkoda chłopa, zmówmy za niego paciorek!

Spojrzał przy tym na drobniutką postać kompana o zszarzałej twarzyczce.

— Eee, gdzie tam! — wytęża pierś drobniutki. — Gdym w wojsku był...

— Czternasty pułk chrabąszczy? — zgaduje łysy.

Tymczasem mokry wiatr kołysze pajączkiem. Trochę gapiów, uczestników „Dymarek Świętokrzyskich", wodzi za nim wzrokiem: tak, to nawet interesujące, gdzie spadnie? Jednak chyba na druty wysokiego napięcia. Jest wczesne przedpołudnie; autokary dopiero zaczynają ryczeć na bruku osady. Handlowcy kończą przygotowania stoisk do jarmarcznych powinności. Robi się ciaśniej. Czeladka strojnych pacholąt krzyczy jakąś piosenkę, obiecuje ubaw. Przejezdni jedzą parówki pod słomianym dachem wiaty. Stragany przy Świętokrzyskiej oferują pomarańcze i dorsze wędzone, piwo extra, kanapki z wędzonką po piątce, serki żółte, z dziurkami, soki jabłeczne, nieklarowane, pączki z muzeum, baba z Jasła kręci watę cukrową na patykach. Można kupić glinianego kogutka z gwizdkiem, talerzyki ozdobne, kafelki, spodeczki i doniczki, wazy, dzbanuszki wypalane, figurynki i świątki markotne, koraliki, maskotki, różowe brzaski na leśnym dukcie — opowiedziane pędzlem amatora. Deszcz wciąż siąpi.

— Dziewczyny kochaaajcie naaas... — zawodzi chór w głośnikach. Chrypie czkawką membrana.

Między muzeum a campingiem PTTK, za ostrokołem, prasłowiańskie piecowisko przygotowuje się do wytopu żelaza: taka główna część imprezy, „Dymarek Świętokrzyskich". Gdy przekroczysz rzetelnie zbudowaną bramę, którą siekierą pachołek odmyka, zobaczysz wpierw twarze bogów w pniu wysokim dłubane, chaty rudników sprzed dwóch tysiącleci, sześć pieców — dymarek, mielerz do wypału węgla drzewnego. Właśnie młody wytapiacz, prywatnie — Staszek Bugaj, student z krakowskiej AGH, obsypuje darnią stos okrąglaków. Jest ich tutaj siedmiu z Piotrem Korgulem na czele. Przebywają w Nowej Słupi już od tygodnia, biorą po półtorej stówki za dniówkę. Pod uważnym okiem profesora Wacława Różańskiego budowali imitacje staropolskich piecyków. Tak, właśnie dymarki. Teraz ubrani w dawny ciuch pocieszny, skórzane fartuchy, staną się aktorami widowiska: odtworzą czas miniony, zaś spiker nagrany na taśmę magnetofonu skomentuje lapidarnie ich czynności.

Dymi mielerz, siąpi deszcz, tłumek gapiów pcha się na sznury ogrodzenia, fotoreporterzy skaczą koło piecowiska. Widownia się niecierpliwi. Samolot leci nisko, kiwa skrzydłem. Służbowe „fiaty", „wołgi", przystają u bram: goście z województwa przyjechali! Wycieczka harcerzyków zwiera swe szeregi.

— Spróbujcie zrozuuumieć naaas... — drze się chór w głośniku na słupie.

W siedmiu pijalniach trunków — ciaśniej niż przy prasłowiańskim piecowisku. W barze Miszczukowej, w rynku, tuż za przystankiem pekaesu, sprzedają lody waniliowe, a gdy dusza zapragnie, napić się można wina z ziołami. W kawiarni Trepkowej właścicielka poda wam, gdy zechcecie, nawet talerz gorącej zalewajki. Opodal w geesowskiej gospodzie „Pod Jodłami" — wódki, ile człeku zapragniesz. Śledzia możesz dostać. Na przekąskę. Miasteczko nie ma hotelu, ale od czegóż prywatne domy noclegowe? Pełno będzie gości dzisiaj, aż pod strych!

Noc przyjdzie później; na razie jest mokre przedpołudnie. Gra siarczyście kapela na podium pod starym lasem. Turyści obskoczyli kamienną postać Pątnika sprzed kilku wieków: pstrykają amatorskie aparaty. W piwnicach elektryka Buczka wiszą pejzaże braci Półtoraków. A przy Królewskiej Drodze, która prowadzi na Łysą Górę, w zagrodzie strzelają z łuku i kuszy, za drobną opłatą. Obok wyrostki grają w kręgle.

— Spróbujcie zrozuuumieć naaas... — powtarza uparcie chór w głośnikach.

Przy ważnej ulicy Marian Buczek postawił duży dom, piętrowy. Własnymi siłami, z finansową pomocą teściowej. Drugą chatę zbudował wcześniej, w sąsiednich Rudkach, w pobliżu Staszicowskiej kopalni pirytu. Tam właściwie mieszka z rodziną. Tutaj zaś, w Nowej Słupi, całą niemal powierzchnię oddał w dzierżawę „Gromadzie": stacja turystyczna ma ponad pół setki łóżek. Trzy pokoje wydzierżawił Buczek na stałe kierowcom pekaesu. Płacą mu ładnie. Natomiast tam, gdzie miały być garaże, w części piwnicznej, łebski właściciel przerobił pomieszczenia na pokaźną salę. Sto par może tańczyć. Kozaka. Będzie tu mieścił się Klub Świętokrzyski, z bogatym wystrojem wnętrza. Same witraże sprowadzone z Krakowa kosztować będą 50 tysięcy złotych. Zapłaci za to państwo. I Buczek też zarobi: Wydział Kultury Powiatowej Rady w Kielcach daje mu za dzierżawę trzy tysiączki miesięcznie. Umowa obowiązuje dziesięć lat; razem za ten przerobiony garaż — 360 tysiączków! Więc Buczek ma prawo przy każdej okazji się chełpić:

— Częstochowiak jestem, chłopak przemysłowy!

W związku z tymi „Dymarkami" Buczek miał ochotę budować w tym roku pensjonat, na działce za apteką, zaraz przy rynku, w ładnym miejscu. Jest tam coś 80 arów. Budynek byłby wielgachny, z własną stołówką, kawiarnią, salą zabaw. W ogrodzie wśród krzewia powinien być koniecznie staw z murkiem białym, drobnymi rybkami. Z fontanną oświetloną nocą od spodu. Obok byłaby taka wielka karuzela; z jej ramion zwanych wysięgnikami zwisałyby na łańcuchach dwuosobowe kabiny, za szybkami w rozmaitych kolorach. Wszystko to kręciłoby się wokół, zaś w środeczku pod zadaszeniem stolarze by zrobili podłogę taneczną. Orkiestra by wciąż grała, a grała! w soboty i święta. W inne dni — magnetofon. Na samych lodach, poziomkowych albo migdałowych, albo takich innych, kupę forsy można byłoby zgarnąć. Cóż, Miszczukowa przeszkodziła. Miszczukowa taka chytra: ma dom noclegowy na sto łóżek, prowadzi własny bar, handluje lodami. W tym właśnie miejscu, za apteką, upodobanym przez Buczka, wznosi ona swój pensjonat. Mury są już pod dachem.

— Panie Marianie, jakże to się stało?

— Podkupiła mnie Miszczukowa — zachmurza się rozmówca. — Ja dawałem za plac trzysta tysięcy. A ona dała o sto papierków więcej. Gdybym wiedział, też bym dał.

„Dymarki Świętokrzyskie" zdążyły już obrosnąć w tradycję. Stanowią niejako organiczną cząstkę Nowej Słupi, osady u stóp Łysej Góry. W poprzednich latach ta impreza turystyczna, folklorystyczna — jak wolicie, trwała zaledwie cztery dni: mniej niż jarmark na świętego Wawrzyńca, ustanowiony przez króla Kazimierza Jagiellończyka. Od tego roku „Dymarki" trwać będą przez kilkanaście sobót i niedziel, od czerwca do września. Przewiduje się ostrożnie, że ściągną one do miasteczka przynajmniej trzysta tysięcy przybyszów.

Czy Nowa Słupia ma pewne korzyści z takiej inicjatywy mądrych głów? Kazimierz Tofil, sekretarz Gromadzkiej Rady, pszczelarz doskonały, częstując was plastrem miodu z własnej pasieki, stanowczo odrzuci tę zdrożną myśl: grandy tylko dużo, pożary stodół się trafiają, grzeszne uczynki, wszystko depczą, wszystko niszczą! Eugeniusz Krzysztofik, dyrektor naczelny pobliskiego Parku Świętokrzyskiego, również powie ze zgrozą: biedna ta Puszcza Jodłowa! — załamuje ręce. — Co za klęska! Nie inaczej traktuje „Dymarki", ów masowy spęd turystyczny, Antoni Pawlik — kierownik szkoły, a zarazem przywódca gromadzkiej organizacji partyjnej: obietnic było dużo, korzyści tyle, co kot napłakał. Zastrzega się przy tym Pawlik, że reprezentuje własne poglądy. Odmiennego zdania są ludzie ze smykałką, jak określa Buczek. Handlowe główki. Dajmy na to Adam Żaczkiewicz, prezes GS w Nowej Słupi, wyraźnie odczuwa błogosławiony wpływ imprezy na przychód spółdzielni. Dynamizuje ona wiejski handel — przypomni prezes. — Co roku więcej o kilkanaście milionów złotych. W bieżącym roku przewiduje się co najmniej 109 milionów złotych obrotów!

Nic dziwnego, że prezes Żaczkiewicz marzy o rozwoju bazy usługowo-gastronomicznej. O nowoczesnych sklepach, krzykliwych neonach, reklamie, motelu, kawiarni z prawdziwego zdarzenia, lokalu nocnym. No cóż, wstyd się przyznać: geesowskie głowy mogą dziś turystom oferować jedynie 80 miejsc konsumpcyjnych. Sytuację ratują prywatni barmani. Prezes Żaczkiewicz marzy, a prywaciarze robią forsę. Tak to jest. Biznes, pieniądz robi pieniądz!

Coś niecoś można się dowiedzieć od działaczy Towarzystwa Przyjaciół Górnictwa, Hutnictwa i Przemysłu Staropolskiego, kolektyw-

nego organizatora świętokrzyskiej zabawy. Ale to już trzeba się pofatygować do Kielc; przy ulicy Wesołej, w podwórku na drugim piętrze, gdzie ciągnie wilgocią, mają swe biuro dyrektorzy Jerzy Garszyński i jego zastępca, Maciej Lis. Z pamięci wam wyliczą zyski i straty. Raczej zyski.

Maciej Lis tak powie:

— Mieszkańcy Nowej Słupi i okolicy zarobili w ostatnich latach, przy pracach przygotowawczych do „Dymarek", ponad dwa i pół miliona złotych. Nie liczę innych wpływów, powiedzmy, z prywatnych kwater, sprzedaży obiadów, artykułów żywnościowych.

Jerzy Garszyński uzupełni wypowiedź:

— Co roku zarabiają więcej. Skorzystało też miasteczko jako osada. Polska zwróciła nań uwagę. Wielkie przedsiębiorstwa lokalizują tu swe domy wczasowe, urządzenia rekreacyjne. W przyszłości kilkaset osób znajdzie stałe zatrudnienie.

Ksiądz major Walenty Ślusarczyk; postać to barwna, fascynująca w tym środowisku. Ma zwyczaj paradować po uliczkach Nowej Słupi w mundurze wojskowym, z dystynkcjami wyższego oficera. Z odznaczeniami na piersiach. Robi to zazwyczaj dwa razy do roku: na Dzień Zwycięstwa i w Święto Lipcowe. Zbowidowiec. Od 37 lat jest kapłanem, ale prawdę mówiąc, nigdy nie zerwał całkowicie z wojskową przeszłością.

Odwiedziłem go na plebanii z żelaznymi kratami w oknach, aby dowiedzieć się coś po trosze o jego życiowej namiętności: zbiorach archiwalnych, militariach. Absorbowało mnie pytanie: skąd ta sutanna i mundur wojaka? Zastałem mężczyznę w pełni sił, postawnego; nikt by nie przypuszczał, że parafianie wnet będą obchodzić siedemdziesiątą rocznicę jego urodzin. Pochodzi z powiatu opoczyńskiego. Mając lat 19 wstąpił do Szkoły Podchorążych Rezerwy w Ostrowie — Komorowie. Przez kilka lat służby w 71 pułku piechoty w Zambrowie dosłużył się stopnia porucznika. W 1933 roku przyjął święcenia kapłańskie. Gdy w ubiegłym roku urocza pani Irena z „Tele-Echa" zapytała go w swym telewizyjnym wywiadzie, dlaczego porzucił stan wojskowy, odpowiedział bez wahania:

— Bo przed wojną, proszę pani, nie było tak pięknych kobiet jak dziś!

W dniach tragedii narodowej, w pamiętny wrzesień, znów sobie przypomniał, że jest żołnierzem, potomkiem powstańca styczniowego. Był wówczas w parafii Borkowice, 10 km od Przysuchy. Spieszy rannym z pomocą. Organizuje punkty dożywiania dla uciekinierów, głodującej ludności. Później tworzy organizację podziemną z młodych ludzi, zakłada wraz z innymi konspiracyjną szkołę podchorążych. Utrzymuje osobisty kontakt ze słynnym majorem Hubalem, pierwszym dowódcą partyzantki na Kielecczyźnie. Kawalerzystom — hubalczykom dostarcza prowiantu, oporządzenia, obroku dla koni. Wraz z innymi gorzko przeżywa śmierć majora i dramat partyzanckiego oddziału.

Nie załamuje się; przewozi broń, tajne gazety, organizuje pocztę polową dla leśnych grup bojowych. Przy pomocy Karola Pająka z Suchedniowa i Stanisława Wełpa z Borkowic instaluje u siebie radioodbiornik: z nasłuchów radiowych, komunikatów ze Wschodu i Zachodu sporządza informację, wydaje własną prasę konspiracyjną. Na jego plebanii, tym razem w Łęgowicach, partyzanci porucznika Antoniego Kucharskiego — „Rogersa" sporządzają plany mostów, dróg, magazynów wroga, rejonów koncentracji hitlerowców. Dostarczano te opracowania dla pułkownika „Griszy", dowódcy oddziału radzieckich spadochroniarzy. A potem, gdy porucznik „Rogers" ginie w lasach brudzewskich, urządza mu uroczysty pogrzeb.

Tak, ale pasją jego życia jest prywatne muzeum. Przed czterdziestu laty zaczął od przypadkowego kolekcjonowania kolorowych kamyczków. To hobby przerodziło się w przemyślany trud zbieractwa pamiątek narodowych. Owocem pasji są bogate zbiory bibliofilskie, numizmatyka, militaria, malarstwo, plakaty, dokumenty walk narodu z caratem, hitlerowskim najeźdźcą. Mieszka właściwie kątem na tej plebanii, bo sześć pokoi zamieniło się w pomieszczenia muzealne z tysiącami eksponatów, nieraz o unikalnej wartości. Eksperci obliczają cenę zbiorów na dwa miliony złotych. Ks. major Ślusarczyk uśmiecha się tylko łagodnie:

— Proszę pana, wartość niektórych eksponatów trudno przeliczyć na pieniądze. Ich cena jest niewymierna.

Prowadzi mnie przez pokoje plebanii. Ileż tu pamiątek z różnych epok! Szabla powstańca z 1863 roku. Naramienniki oficerskie z czasów Kościuszki. Broń kosynierów, czapka wezyra Kara Mustafy zdobyta pod Wiedniem, ołtarzyk polowy Andersa, ulotki komunistyczne! O, proszę, kula armatnia Rakoczego, który spalił Nową Słupię. A tutaj — pistolety „Jędrusiów", miecz obosieczny wojów Mieszka I, sprzączka od pasa gen. Zajączka tudzież jego bilet wizytowy, matryca akowska do produkcji fałszywych pieniędzy. Pamiątki po Kołłątaju, Staszicu. Fajeczka Mickiewicza, mydełko „Rif" z tłuszczu zabitego człowieka. Oczywiście — pomysł hitlerowców. Są kajdany sybiraków, dyby chłopów niewolnych, bandera polskiej floty, śpiewnik partyzancki, starodruki, afisze z listą rozstrzelanych, prasa konspiracyjna wszystkich ugrupowań politycznych. Patrzcie! Nawet talerze z serwisu Napoleona, a także drewniany widelec z XVI wieku, pierwszy zwiastun nowinek francuskich.

Przebogaty jest dział numizmatyczny. Cenne są pisma odręczne, listy, notatki wszystkich niemal królów Polski, hetmańskie, wielkich poetów, sławnych ludzi związanych z Kielecczyzną. Tu właśnie jest list Bohdana Chmielnickiego, hetmana zaporoskich Kozaków; nawiasem mówiąc — jedyny w Polsce. Tutaj znajduje się jedyny w województwie egzemplarz Manifestu PKWN. Tutaj znalazł troskliwą opiekę jedyny w Polsce egzemplarz Krzyża Virtuti Militari z 1792 roku!

Najwięcej jest jednak pamiątek kieleckiego regionu. Sporo tu dokumentów, eksponatów związanych z osobą gen. Langiewicza, dowódcy powstańców walczących na Łysej Górze. Wielki obraz przedstawia starcie kozaków płk Sorniewa z kosynierami polskimi 12 lutego 1863 roku, właśnie po Nową Słupią. Tak, jest też sztandar partyzancki zgrupowań akowskich porucznika „Ponurego". Wcale nie zamierzam wyliczać wszystkich skarbów; ich rejestr i opis zająłby karty grubej księgi!

Żyje sobie skromniutko, chodzi w połatanych butach, poniszczonej sutannie, ale pieniądze muszą się znaleźć na zakup rzadkiego eksponatu. Aby zdobyć na aukcji w Warszawie odezwę gen. Langiewicza, musiał wpierw wywlec prosiaka na targ z księżowskiego chlewika. Bywa też, że potomkowie sławnych ludzi, rodziny partyzantów, hobbyści, przypadkowi odkrywcy cennych dokumentów, przychodzą na plebanię i ofiarowują swe dary; w taki sposób z roku na rok bogatsze są zbiory ks. Ślusarczyka z Nowej Słupi.

— Za ciasno tutaj — uśmiecha się gorzko proboszcz. — Chętnie przekazałbym te zbiory państwu. Pod warunkiem, że pozostaną w całości w miasteczku, pod jednym dachem.

Ślusarczyk marzy o budowie muzeum, gdzie mogłyby wszystkie jego zbiory znaleźć właściwą ekspozycję. Marzy też o tym, aby być blisko nich. Pragnie zostać kustoszem w tym muzeum.

Każdy ma swoje tęsknoty...

Prostokąt rynku. Uliczki z półwiejską zabudową. Trochę piętrowych domów. Ruch pekaesów większy niż gdzie indziej. Jednak Nowa Słupia — dziś, to właściwie osada wiejska, z siedzibą gromadzkiej władzy. Dawno straciła status miejski, jeszcze za cara — polakożercy. Słupianie nigdy nie chcieli się z tym pogodzić. Zawsze powiadają: w naszym mieście...

Tak, Nowa Słupia ma bogatą historię. Bogatszą niż inne miasta. Toż ona już w początkach XI wieku była ponoć osadą typu miejskiego. Słowo pisane wymienia ją jako miasto pod nazwą Slupp w 1269 roku. Długosz nazywa ją Nowa Slup. Był w miasteczku dwór i folwark benedyktynów, tych z Łysej Góry. Nowa Słupia zawsze cieszyła się względami królów; stąd rozpoczynali pielgrzymkę do klasztoru i kościoła na Świętym Krzyżu. Szedł Drogą Królewską, boso i w pokucie, Władysław Jagiełło, tuż przed wyprawą pod Grunwald. Stąd wędrowało kilkunastu innych władców. Obdarzali miasto łaskami. Tutaj odbywały się targi, słynne na okolicę. Trzy razy do roku huczało od wielkich jarmarków; trwały cały tydzień. Były pożary, owszem. Były najazdy obcych wojsk. Była zaraza. A miasto wciąż odradzało się młodym życiem. Pół wieku temu Nowa Słupia liczyła ponad dwa tysiące mieszkańców. Dziś jest ich półtora tysiąca. Ale nie zginie miasteczko. W „Dymarkach" nadzieja.

To przecież „Dymarki" rozsławiły znów Nową Słupię w kraju, koronując ją na stolicę Łysogór. Wojewódzkie władze mają konkretne plany jej rozwoju, jako ośrodka turystyki i wypoczynku o znaczeniu ponadregionalnym. Wyrosną w miasteczku oraz okolicy domy wczasowe, pensjonaty, wille, urządzenia sportowe, aktywnej rekreacji. Gdyby zapytać o to gospodarzy kieleckiego powiatu, powiedzmy, — Stanisława Bolechowskiego, przewodniczącego PKPG w Kielcach, chętnie powie o tej



fot. CAF

przyszłości. Już w tej pięciolatce będzie się budowało obiekt wczasowy na 140 łóżek, dla związkowców — metalowców. W pobliskiej Trzciance powstaną dwa duże domy wczasowe: wypoczywać będą chemicy i pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Później w sąsiednich Paprocicach wyrosną liczne pensjonaty, inne obiekty rekreacji. Na rozwój wodociągów, kanalizacji, dostaną Nowa Słupia i okoliczne osady około 50 milionów złotych; po roku 1975 — dalsze miliony. Będą baseny kąpielowe, boiska sportowe. Doczeka się Żaczkiewicz nowoczesnych sklepów i gastronomii. Przybędzie Nowej Słupi duży motel, wyładnieją ulice i place. Zaś dla turystów w porze zimowej powstaną wyciągi narciarskie, nartostrady, szlaki saneczkowe, lodowiska, basen kryty z podgrzewaną wodą, hala sportowa i wiele innych uciech.

Planistom marzy się Nowa Słupia jako rosnący w sławę ośrodek krajowej turystyki, wczasów letnich i zimowych. Henryk Bereszko, przewodniczący Gromadzkiej Rady, z dumą twierdzi:

— Doczekam się takich czasów, kiedy moje miasto będzie miało 15 tysięcy mieszkańców.

I dodaje: a poza tym gościć będzie co roku kilkaset tysięcy przybyszów, nawet z zagranicy.

Tak, Nowa Słupia złapała Pana Boga za nogi...

Historia ciągnie ludzi, jak magnes opiłki. Tutaj właśnie rosło, przed dwoma tysiącami lat, zagłębie prasłowiańskiego hutnictwa. Znane chyba na całą ówczesną Europę. Ziemia odkrywa prawdę tamtych wieków. W pawilonie Muzeum Starożytnego Hutnictwa kustosz Henryk Spelak snuje opowieści, od których kręci się w głowie. Przyjeżdżają znawcy z całego świata. W księgach pamiątkowych mieszczą się podpisy i słowa podziwu turystów z kilkudziesięciu krajów. Co roku przewija się przez pawilon przeciętnie 70 tysięcy osób. Spelak opowiada im o rudnikach staropolskich, opisuje proces wytopu żelaza w dymarkach, pokazuje odkopane ślady pradawnych piecowisk. W gablotach eksponaty: grot włóczni, starszej od czasów piastowskich, uchwyt tarczy, jakiś klucz, brzytwa, którą się golił dawny hutnik, nożyce i nóż, inne przedmioty kowalstwa z otchłani wieków. Jest pieniążek ze znalezionego skarbku: pradziad wzbogacił się na handlu żelazem z kupcami imperium rzymskiego.

Już Stanisław Staszic, zwiedzając Góry Świętokrzyskie, zauważył niezwykłe znaleziska. W 1806 roku sporządził taką notatkę: „Nadto w całej okolicy tej Łysej Góry na kilka mil w koło znajduje się po polach niezmierne mnóstwo rozrzuconych żużlów żelaznych".

Historią tego zagłębia starożytnego hutnictwa zajęli się wreszcie uczeni. Badania rozpoczął w 1955 roku Zespół Historii Polskiej Techniki Hutniczej PAN, kierowany wówczas przez profesora Radwana. Przy ścisłej współpracy archeologów, geologów, metalurgów. Później w okolicy Nowej Słupi natrafiono na pozostałości chat sprzed kilkunastu wieków, zaś w sąsiednich Rudkach odkryto ślady pracy górników z tamtych czasów; tutaj dobywali rudę żelazną do wytopu w swoich małych piecykach — dymarkach.

Kustosz Spelak opowiada:

— W ciągu ostatnich lat odkryto trzysta tysięcy pradawnych piecyków hutniczych...

Proszę zauważyć: tak wielkie zagłębie musiało przecież produkować żelazo na eksport. Nie tylko na potrzeby własne. Skarby monet, odkrywane w okolicy, wskazują na rozwój tegoż handlu, kontaktów z Europą.

Deszcz wciąż siąpi. Psia pogoda dla turystów. Może w następną niedzielę będzie lepiej. Odjeżdżają spłoszone słotą autokary. Baba z Jasła zwija swój kram z watą cukrową na patykach. W barach i kawiarenkach coraz tłoczniej. Kurzy się z głów. Przy Świętokrzyskiej, tuż na zakręcie, gdzie Czesław Świeca, kierownik Wydziału Kultury z Kielc, będzie budował Ślusarczykowi pawilon, spotkałem znów łysego. Szedł nierównym krokiem, a za nim drobniutki jego kompan, rezerwista z czternastego pułku chrabąszczy. Chciałem do nich podejść, zapytać:

— Proszę panów, jak to się dzieje, że przy jednakowym wietrze, treningu, jeden skoczek wpada w krzaki, a drugi w buraki?

Potem zaś dorzuciłbym:

— A tylko nieliczni trafiają w sam środek rozpoznawczego znaku na ziemi.

Łysy i drobniutki zaczęli właśnie śpiewać. A zapał taki ich ogarnął, że nie mógłbym, naprawdę nie mógłbym, im przeszkodzić.

I popłynęła pieśń radosna, chrabąszczowa, aż pod stare chojary Łysej Góry.

STANISŁAW RAMS

JANUSZ GAUDYN

Aforyzmy

★ *Na szczęście nie przekazujemy w testamentach swych charakterów.*

★ *— Wielka jest siła miłości. Widziałem — rzekł eunuch.*

★ *Nagość rajskiej Ewy była najtańszym krzykiem mody.*

★ *Niektórzy pisarze chcą budzić sumienia mając własne uśpione.*

★ *Wstyd łagodzimy listkiem figowym; nośmy go przeto na głowach!*

★ *Historycy nie są bohaterami — mogą dociekać minionych prawd bez obaw o własną skórę.*

★ *Dochodząc do sedna sprawy narażamy się na powrót.*

★ *Ziemia pędzi z nadzieją, że pospadają z niej głupcy.*

★ *Napawał nas optymizmem: nie miał nic do stracenia.*

★ *Nie mają odwagi mówić — nie powinni gwizdać.*

★ *Wiatr epoki jednych cuci, innych dusi.*



fot. A. Pęczalski



fot. S. Godzic

krok w Polskę

Cieszyńskie propozycje

Jacek Głażewski

Trwająca od jakiegoś czasu w naszej prasie dyskusja na temat kultury i jej modelu przypomina niekiedy scholastyczne akademickie dysputy sprzed wieków. Coraz mniej dzisiaj słyszy się zawołań o zapotrzebowaniu na kulturę masową, ciekawe dlaczego, czyżby zwolennicy jej zmienili swoje poglądy pod wpływem mody, czy też za nowy punkt widzenia przyjęli założenie, że społeczeństwo składa się z jednostek o różnie ukształtowanych potrzebach zarówno percepcji jak i aktywności kulturalnej. Czym jest kultura masowa? Jedni płaczą nad losem Stefci Rudeckiej, inni sięgają po raz wtóry po książkę z dziejami Pawki Korczagina. A czemu ma służyć sztuka zaangażowana? Lansowaniu tez głoszonych przez ideologię i aktualną politykę kulturalną czy też odkrywaniu wewnętrznych niepokojów i wątpliwości nurtujących zarówno społeczeństwo jak i jednostkę? Wreszcie, jakie jest miejsce dla propagowania wzorców i zasad, które są milcząco odrzucane lub też przechodzi się nad nimi obojętnie? Czy i jak wychodzić naprzeciw działaniu rodzącemu się, nieraz spontanicznie w sposób jak najbardziej autentyczny? Jednoznacznej odpowiedzi na te pytania nie ma i chyba być nie może, zbyt wiele czynników tu odgrywa rolę, myślę jednak, że nie należy tracić szans zarówno tych, które istnieją, jak i tych, których można się spodziewać.

Kultura nieodłącznie wiąże się z każdym przejawem ludzkiej działalności i jest często wymierną cechą stanowiącą o wartości pracy produkcyjnej, ubocznych zainteresowań i społecznego działania. Kultura to także kształt naszych miast i architektura pojedynczego budynku, umiejętność właściwego wykorzystania przyrody i jej ochrony, estetyka kompletu naczyń kuchennych kupowanych w sklepie, sposób sprzedaży tego towaru przez ekspedientkę i umiejętność nawiązania życzliwego kontaktu klienta ze sprzedawcą. Kultura to wycieczka do Chęcin dla zwiedzenia ruin zamku, słuchanie opery „Madame Butterfly" w poznańskiej operze, oglądanie wystawy pop-artu, dyskusja nad nowym repertuarem dla zespołu amatorskiego w wiejskim klubie „Ruchu", a także sterczenie z opróżnioną do połowy butelką przy kiosku z piwem.

Jest to więc jedna z cech nadających charakter ludzkiej działalności, ale przede wszystkim atmosfera, w której się żyje i która kształtuje każdego z nas, stanowi o istocie i poziomie odczuć społecznych, gdyż według Suchodolskiego „...sprowadza się w ostatecznej instancji do wychowania konkretnych ludzi...".

Działalność kulturalna to w swojej nadrzędnej zasadzie kształtowanie stosunków międzyludzkich, wyrabianie nawyków i stereotypów umożliwiających jednostce odnalezienie właściwego miejsca w społeczeństwie, a także wyjaśnienie, że to, co jest godne człowieka i jemu właściwe, nie może być temu człowiekowi obce.

Istniejące obecnie formy działalności kulturalnej nie zawsze spełniają pokładane w nich nadzieje, często są kalekie i puste, a ich pozorna atrakcyjność przynosi nieraz skutki wręcz odwrotne. Więcej się bowiem wagi u nas przykłada do strony formalnej tego zagadnienia niż zawartej w nim treści pojmowanej nawet w zwykłych utylitarnych kategoriach. Dla wielu organizatorów kultury postawienie pytania i potrudzenie się nad poszukaniem odpowiedzi — czy to, co odbyło się w ramach takiej czy innej określonej działalności, dało ludziom jakieś wartości konkretne, skłoniło do myślenia, do osobistej prywatnej propozycji dla siebie czy też propozycji od siebie dla innych — wydaje się być problemem zbędnym lub niemożliwym.

Istnieje u nas pewien stereotyp działania polegający na kopiowaniu wzorów tej działalności z lat ubiegłych i dla kultury nie najszczęśliwszych.

Na Giełdzie Pomysłów Kulturalnych, która odbyła się w Lublinie przed trzema laty (i stanowiła przykładowy w swoim rodzaju niewypał) Władysławowi Oszeldzie, twórcy i działaczowi cieszyńskich „Propozycji", postawiono ważkie i zasadnicze zarzuty — co to może być za klub, te „Propozycje", który nie ma ani statutu, ani oficjalnie zatwierdzonego planu pracy, nie posiada wybranej czy też powołanej rady klubu, nie ma listy członków, nie jest oficjalnie nigdzie zgłoszony ani zarejestrowany, działa bez żadnych dotacji, bo nikt go nie finansuje, nie składa nigdzie ze swojej działalności sprawozdań i nawet, o zgrozo, nie ma własnej pieczątki.

Wszystkie te zarzuty potwierdzają się w całej rozciągłości i dzisiaj. Klub „Propozycje" działa w Cieszynie już jedenasty rok, niedługo odbędzie się pięćsetna, jubileuszowa impreza; zatwierdzonego oficjalnie planu pracy i sprawozdań z działalności klubu nigdzie nie ma, ale zamiast nich w posiadaniu Władysława Oszeldy znajdują się pękate teczki zawierające kilka tysięcy wycinków z gazet polskich i zagranicznych, począwszy od miejscowego „Głosu Ziemi Cieszyńskiej" a kończąc na chicagowskim tygodniku „Ameryka -Echo", informujących, omawiających i rozważających działalność „Propozycji". To jest jedyna w swoim rodzaju kronika działalności klubu.

„Jesteśmy nieformalnym związkiem o typie towarzyskim" — precyzuje Wł. Oszelda zasady działalności. — Polem działania klubu jest sfera stosunków społecznych i w tej sferze koncentrują się wszystkie poczynania klubu".

Klub istnieje i funkcjonuje na zasadzie dobrowolności i bezinteresowności, jego członkiem, udziałowcem czy sympatykiem — trudno znaleźć tu właściwą nazwę ze względu na odrzucenie wszystkich formalnych i administracyjnych zasad działalności — może zostać każdy niezależnie od wieku, zawodu, pozycji społecznej czy poglądów, kto chce wziąć udział w dyskusji, spotkaniu czy też jakiejkolwiek organizowanej przez klubową społeczność imprezie. Wszystko to jest pozbawione jakichkolwiek oficjalnych form czy rygorów, spotkania odbywają się w salce kawiarni „Nasz Kącik" przynależnej do Cieszyńskiego Klubu Pracowników Spółdzielczości i Handlu, w każdy piątek, o godzinie 18.00, w towarzyskiej, nieskrępującej atmosferze, która chyba jest jednym z klubowych atrybutów, bo takie wrażenie z pobytu w klubie wyniósł prof. Pospiełow, dyrektor Instytutu Biologii Syberyjskiej Akademii Nauk, który był prelegentem podczas jednego z tych spotkań, i Paweł Łysek, profesor Uniwersytetu Nowojorskiego zaproszony podczas pobytu w Polsce do „Propo-

życji" z odczytem, podobnie mówili o tym dziennikarze francuscy i radzieccy i chyba każdy, kto został tam zaproszony lub trafił przypadkowo.

Byłoby błędem twierdzenie, że tylko koryfeusze nauki i kultury są obiektem zainteresowania na piątkowych spotkaniach. Z takim samym zainteresowaniem słucha się górnika opowiadającego o swojej pracy, lekarza rozważającego problemy współczesnej medycyny czy publicznego zdrowia, inżyniera mówiącego o sprawach urbanizacji, architektury i produkcji, kierowcy PKS o niektórych problemach społecznych, jakie zaobserwował w codziennym życiu.

Kawiarnia nie jest jedynym terenem działalności klubu, wiele z tych spotkań było urządzanych w domach kultury i zakładach pracy, niejedna impreza nawiązująca do kulturalnych tradycji regionu odbyła się w okolicznych wsiach. Prawie każde spotkanie, dyskusja czy impreza uwieńczone są konkretną propozycją, stąd też nazwa klubu. Wnioski mają różnoraki charakter i wielu adresatów. Są to niejednokrotnie praktyczne, gospodarskie postulaty kierowane do grup zawodowych czy instytucji, do władz lokalnych, umożliwiają lepszą i kompleksową odnowę środowiska, ułatwiają wyzwalanie inicjatyw kulturalnych.

Najważniejszą jednak praktyczną stroną tego zjawiska jest fakt, że cieszyńskie władze państwowe i partyjne rzeczowo reagują na zgłaszane przez „Propozycje" wnioski.

Obserwacje potwierdzają, że ludziom związanym z klubem o wiele łatwiej jest przezwyciężyć zjawisko alienacji nasilające się coraz bardziej w społeczeństwie. Zwiększenie wrażliwości na otaczające zjawiska pozwala ujawnić i sprecyzować niepokoje osobiste i społeczne towarzyszące naszemu życiu, a możliwość przeciwdziałania sytuacjom i stanom negatywnym poprzez wysuwanie konkretnych postulatów dla organizacji politycznych, społecznych, kulturalnych i administracji czy zakładów pracy lub nawet pojedynczych ludzi, staje się czynnikiem mobilizującym zarówno myślenie jak i działanie.

Wszystkich inicjatyw, które wyszły z Klubu „Propozycje", nie sposób jest wyliczyć, dla przykładu można podać, że akcja wyszukiwania ciekawych ludzi, podjęta następnie pod tą samą nazwą przez organizacje młodzieżowe i rozpropagowana w całym kraju, miała swój początek w cieszyńskich „Propozycjach", podobnie jak rzucone na cały kraj hasło „O jeden uśmiech więcej", zainicjowane w 1966 roku przez klub wspólnie z oddziałem Polskiego Towarzystwa Pielęgniarek w Cieszynie. Zadaniem tej akcji było przeciwdziałanie tak często spotykanej obojętności w stosunku do chorego. Z inicjatywy klubu powstała w Cieszynie Liga Ochrony Przyrody zrzeszająca już kilka tysięcy członków. Utworzona obecnie Cieszyńska Komisja Ochrony Środowiska jest realizacją projektu, jaki powstał podczas jednego z klubowych spotkań. Utworzenie wspólnej akcji pod nazwą „Zielonego Frontu" łączącej miłośników przyrody i stanowiącej cenny wkład w działaniu korzystnym dla ochrony środowiska naturalnego po obydwu stronach granicy, jednoczącej w tym działaniu zarówno Czechów jak i Polaków. Współpraca z Polskim Komitetem UNESCO, współdziałanie z Komisją Ochrony Zdrowia Społecznego Polskiej Akademii Nauk, pobudzanie do aktywnego działania organizacji społecznych i kulturalnych i jednoczesna pomoc w rozwiązywaniu wielu problemów.

Nie należy chyba wyjaśniać, jak korzystną dla władz cieszyńskich jest ta grupa autentyczna i bezinteresowna, działająca w sposób pozbawiony jakiegokolwiek formalizmu, w sposób właściwie nieoficjalny. Dzięki niej wiele spraw i problemów znalazło szybkie i właściwe rozwiązanie.

Cieszyński model społecznego działania budzi duże zainteresowanie, obawiam się jednak, że chyba większe za granicą niż u nas w kraju. Oparte na wzorze cieszyńskich „Propozycji" istnieją i działają już od kilku lat kluby w Czechosłowacji, NRD, USA i w Kanadzie. W Polsce istnieją bardzo nieliczne.

Na jakich zasadach powinno być oparte działanie i programowanie życia kulturalnego? Przede wszystkim chyba na uwzględnieniu właściwych reguł i praw, jakimi kieruje się osobowość każdego człowieka, na stwarzaniu sytuacji i możliwości wyzwalania aktywności i nie krępowanej administracyjnymi rygorami inicjatywy. Mamy wiele przykładów na to, że każde działanie w dziedzinie kultury pojmowane li tylko w sposób administracyjny staje się często formą nieudolną, istniejącą na zasadzie sztucznie podtrzymywanej wegetacji. Inicjatywa nie krępowana formalnymi rygorami potrafi być nieraz bardziej pożyteczna społecznie niż niejedna poważna instytucja wysyłająca kilometry sprawozdań z działalności kulturalnej, której w naszym życiu prawie nie widać.

Klub „Propozycje" w jedenastym roku swojego działania nadal formalnie nie istnieje, nikt nie zatwierdza żadnego planu pracy, nie podnoszą się żadne głosy o finansowe dotacje, zarzuty postawione na lubelskiej giełdzie są w pełni nadal aktualne. Rzeczywistość, jaka nas otacza, ma jedyną zasadniczą wadę, tę, że ciągle domaga się zmian, może w sposobie myślenia, może w sposobie działania, a może w obydwu tych rzeczach naraz.

Przypomina mi się tak modne kilkanaście lat temu hasło „Myślenie ma kolosalną przyszłość", nawet obnoszono je na transparentach z wielką emfazą i szumem. Może wrócić by do tego hasła, ale bez transparentów, aby każdy miał z niego pożytek.

JACEK GŁAŻEWSKI



fot. archiwum

listy

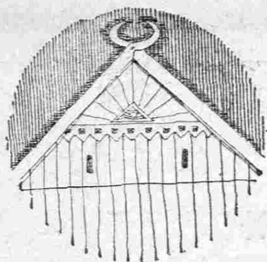
„Ruch" wyjaśnia...

W związku z zamieszczonym w 4 numerze miesięcznika „Przemiany" artykułem pt. „Takimi dużymi literami", w którym to Stanisław Gleń ocenia krytycznie Klub Prasy i Książki „Ruchu" w Suchedniowie, przeprowadzono kontrolę i stwierdzono, że urządzenie i wyposażenie pomieszczeń jest dobre i w zupełności zaspokaja potrzeby bywalców klubu. Klub dysponuje pięcioma kompletami szachów, dwoma kompletami warcabów, przy klubie istnieje aktywna sekcja szachowa. Do lipca odbyło się tu 39 imprez, w tym 15 odczytów i spotkań organizowanych przez TWP.

Prawdą jest, że klub otrzymuje tylko dwie tony węgla, nie zawsze najlepszej jakości i w przypadku, gdy jest bardzo drobny, może go zabraknąć. Poczynimy starania w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, aby zwiększono przydział węgla na nadchodzący sezon zimowy. Jeśli chodzi o działalność kulturalną, to musimy wyjaśnić, że skuteczność jej i poziom zależy wyłącznie od środowiska korzystającego z klubu. Na podstawie zapisów w kronice działalności i opinii gospodyni klubu wiadomo, że na odczytach i spotkaniach jest bardzo duża frekwencja.

Przedsiębiorstwo nasze nie prowadzi sprzedaży takich artykułów jak: piwo, wino, wódka i dlatego pewna część narzekającej młodzieży woli, być może, spędzać czas w „Szarotce". Suchedniów to miasteczko, w którym młodzież należy do ZMS. Jak dotychczas mimo zawartego porozumienia na szczeblu wojewódzkim, kluby miejskie nie posiadają takich wyników pracy jak kluby wiejskie. Na wsi pracuje organizacja ZMW, która według naszych obserwacji pracuje na odcinku kulturalno-oświatowym o wiele lepiej niż ZMS. Młodzież zrzeszona w ZMS nie zawsze wie czego chce, zresztą wynika to również z artykułu pt. „Takimi dużymi literami". Niemniej jednak przedsiębiorstwo uczyni wszystko, by zapewnić miejscowej młodzieży dobre warunki spędzania wolnego czasu, jeśli tylko młodzież ta włączy się do pracy w klubie.

Dyrektor
mgr B. SUŁKOWSKI



Proszę przyjechać — mieszkanie gotowe

Zbigniew Nosal

Miałem wyjątkowego pecha. Wszędzie zastawałem zamknięte drzwi — u Rozesłańców, Kozłowskiego i u Korcza, przy ulicy Obrońców, Żeromskiego i Wrzesińskiego, także i przy ulicy Słowackiego, daleko za miastem, gdzie w rzędzie wielu innych wyróżnia się okazałością dwupiętrowy dom Maniaków — czerwona willa, co może nawet i wyglądać na próbę natychmiastowego nawiązania do sprawy „Czerwonej Oberży" z mojej strony, ale nią właściwie nie jest, bo tam stoi naprawdę solidny, otoczony wysokim ogrodzeniem z żelaznych prętów, nowy dom z czerwonej cegły.

Jak w środku, jak w mieszkaniu — nie wiem, brama była zamknięta.

Bez kłopotu dostałem się za to do punktu numer piętnaście spółdzielni radomskich fryzjerów na Rwańskiej, ze stereotypowym wnętrzem typu prowincjonalnej razury — z napisami, cennikami, fotografiami fryzur, z przepierzeniem oddzielającym dział męski od damskiego, gdzie załatwiano większość tamtych dukatowych transakcji, i który nawet przy nadmiarze fantazji na filię „Czerwonej Oberży" nie wygląda. Tu jednak nic ciekawego nie umiano mi powiedzieć. Mężczyzna w białym kitlu, nie ogolony, z fizys, jaką zazwyczaj miewa fryzjer w poniedziałek, usiłował robić wrażenie, że wie tylko o aresztowaniu Janiny Płowiec i nigdy by mu nie przyszło do głowy, ile przez ten lokal, w którym mydli się brody i robi ondulacje, przeszło złota i milionów.

Mogę mu opowiedzieć.

Mogę. Mam za sobą lekturę aktu oskarżenia Maniakowej i innych, wśród których obok trzech nazwisk mieszkańców Podhala i ośmiu z Radomia, widnieje nazwisko jego współpracownicy. Mam za sobą lekturę wszystkich chyba na ten temat gazetowych artykułów i sześciu grubych poszytów, składających się z protokołów zeznań, rewizji, z zawiadomień i notatek służbowych, z listów, próśb i fotografii oraz sporządzonego przez krakowskiego prokuratora aktu oskarżenia, skąd nie dbając specjalnie o dosłowność (ten prawniczy styl!) wypisałem sobie, że w 1970 i z początkiem roku 1971 Milicja Obywatelska uzyskała informację, iż w rejonie Podhala prowadzi się na szeroką skalę handel złotem i dewizami. Wykryto następnie w Szaflarach i Zakopanem grupę skupioną wokół Jana Kucharskiego, Władysława Jarząbka i Władysława Waliczka, handlującą nielegalnie przemycanymi z zagranicy złotymi dukatami i koronami, dolarami i sztabkami złota.

Był to raczej handel wielce korzystny. Nam, widującym najczęściej złoto w postaci ślubnych obrączek, wiedzieć bowiem trzeba, że cena sztabki złota o wadze stu gramów i próbie 999,0 kształtująca się według oficjalnych cen skupu na poziomie czternastu tysięcy złotych, u nich sięgała dwudziestu dwóch tysięcy i więcej; złoty dukat wielkości pięćdziesięciogroszówki zamiast 688 złotych kosztował od siedmiuset dwudziestu do siedmiuset dziewięćdziesięciu złotych, a „czworaki" — złote monety z wizerunkiem Franza Josepha, cesarza austro-węgierskiej monarchii — sprzedawano z trzystuzłotowym zyskiem.

„Procederowi — teraz już przepisuję dosłownie — sprzyjała trudna sytuacja gospodarcza w 1970 roku i związany z tym zwiększony popyt na trwalsze wartości wymienne".

To jest właśnie sprawa osławionej „Czerwonej Oberży". Jaki z nią związek mają Krystyna Maniak, Stanisława Tomicka, Janina Płowiec, Lucyna i Jerzy Rozesłańcowie, Piotr Kozłowski, Janina Siedlecka i Jan Korcz z Radomia, wymienieni w akcie oskarżenia przeciwko Maniakowej i innym, w towarzystwie Karola Czerwonki z Chyżnego, Jana Podczerwińskiego z Nowego Targu i Jana Ślimaka z Szaflar?

Śledztwo ujawniło, że z braku nabywców złota na miejscu, grupa skupiona wokół szaflarskiej „Czerwonej Oberży" zaangażowała pośredników dyspozytorów w Krakowie (Józef Wojeński) i Radomiu. Centralnym ogniwem grupy radomsko-podhalańskiej była Krystyna Maniak działająca wspólnie z Tomicką, a najpoważniejszym odbiorcą złota — Janina Płowiec z fryzjerni przy ulicy Rwańskiej. Prócz niej, ci następni, którzy — jak powiada się w akcie oskarżenia — nie byli ostatnimi nabywcami, sprzedawali dalej.

„Czerwona Oberża". Zapożyczony z francuskiego filmu, podpowiedziany, zdaje się, przez krążącą na Podhalu plotkę o „kawiarni" Kucharskich, kryptonim milicyjnego śledztwa, poddaje zaraz myśli o bandyckich napadach i mrocznych morderstwach, o ludziach, co to „wzrok dziki i suknia plugawa", a tam były „mercedesy" i szkarłatne „taunusy" i jeden karany już podobno za rozbój Władysław Waliczek, który zresztą przez moment przewinie się tu tylko, będąc bohaterem w innych wątkach, w sprawach Kucharskiego, Wojeńskiego i sportsmenki Biegunówny; a tam były tylko wzajemne oszustwa, wzajemne grabieże z zarzucaniem szmaty na głowę, wzajemne kradzieże i szwindle, przemyt dukatów w kiszkach stolcowych i jak tam jeszcze, przemyt sztabek złota, szwarcowanie na czechosłowacką stronę koni, kupowanych gdzieś w Białostockiem i u nas, w Radomiu.

Nie ma też rewelacji, niewiele do poczytania znajdą miłośnicy opowieści z dreszczykiem w tym materiale o sprawie Maniakowej, chyba że będą to ludzie, u których dreszczyk wywołuje mamona.

Krystyna Maniak, trzydziestopięcioletnia nauczycielka, więcej — zastępca kierownika jednej z radomskich szkół podstawowych, matka dwojga dzieci, z mężem, dobrze zarabiającym własną „warszawą" taksówkarzem i tamtą czerwoną willą oraz placem budowlanym, mającym ponad tysiąc metrów kwadratowych, powodowana, jak napiszą później dziennikarze, „chęcią szybkiego wzbogacenia się", jeździła do Nowego Targu kupować ciuchy zagranicznego pochodzenia. Na handel. W czasie tych wyjazdów poznała właśnie Karola Czerwonkę, specjalistę od przemytu koni i pokątnego handlowca,



fot. A. Pęczalski

któremu w dowodzie osobistym, w rubryce zawód napisano: rolnik, chociaż nie ma żadnego majątku. Kupowała najpierw od niego konfekcję, jakieś niewiadomego pochodzenia sweterki, aż kiedyś zaprosił ją do swego domu w Chyżnem i zaproponował sprzedaż dukatów, obiecując lepszy niż na ciuchach zarobek. Kupiła pięć, czy sześć sztuk i po powrocie do Radomia porozumiała się natychmiast z Janiną Płowiec, łączyły je bowiem wcześniejsze kontakty handlowe, w których główną rolę grały jakieś pierścionki.

Fryzjerka kupiła od niej dukaty, dając lichy, bo ponoć tylko dwudziestozłotowy na sztuce zarobek i wyraziła chęć nabycia następnej partii. Maniakowa pożyczyła od mistrzyni grzebienia dziesięć tysięcy złotych, dołożyła pięć swoich i wyruszyła na następną wyprawę po złote runo. Odtąd, od jesieni 1970 roku, aż do końca lutego 1971 jeździła na Podhale co dwa tygodnie. Nie sama. Towarzyszyła jej zwykle Stanisława Tomicka, rencistka handlująca także przywożonymi z Nowego Targu strojami, będąca równocześnie jej pomocą domową („pomagałam, bo żadna gosposia nie mogła u nich wytrzymać") i wspólniczką, od której Krystyna Maniak pożyczyła trzydzieści tysięcy na pięćset złotych miesięcznej prowizji.

Wyjeżdżały zazwyczaj tak, aby na miejscu być wieczorem i zawsze po załatwieniu sprawy wracały natychmiast do Radomia, gdyż Maniakowa następnego dnia musiała być w szkole. Na miejscu, w Chyżnem, Nowym Targu, bądź gdzieś indziej Tomicka zostawała na autobusowym przystanku, bo Maniakowej nie zależało na wtajemniczaniu pomocnicy w szczegóły. Rencistka nie musiała wiedzieć, ile na złocie zarabia nauczycielka. Nie chciała też zastępstw, kategorycznie odradzała usamodzielnienie: „Głupia jesteś, Tomicka, nie znasz się na obliczeniach, jeszcze by cię oszukali".

Po załatwieniu transakcji w sobie tylko wiadomym miejscu, Maniakowa wracała na przystanek, oddawała Tomickiej „kusz" na przechowanie do torebki i wracały.

Zawód, funkcja Maniakowej utrudniały jej częste wyjazdy, nieopłacalne zwłaszcza wtedy, gdy Czerwonka nie miał złota. Uzgodniono więc system sygnalizacyjny, szyfr zawiadamiający, że jest po co jechać. Nowotarski dostawca wysyłał telegramy: „Proszę przyjechać do nas, mieszkanie jest gotowe".

W styczniu 1971 roku pojechały jednak bez wezwania. Tomicka poznała bowiem w autobusie między Kielcami a Radomiem, całkiem podobno przypadkowo, Stanisława Bernatowicza, który tę obcą mu chyba wtedy kobietę wypytywał, kto mógłby kupić „twarde" i „miękkie", potem przedstawił się i dał adres, umawiając się w Nowym Targu.

Pojechały z Maniakową. „Miękkich" i „twardych", ani złota nie było. Czekały do późna, nie miały już czym wracać, a ponieważ nauczycielka na drugi dzień miała pilne zajęcia w szkole, Bernatowicz załatwił, że Władysław Jarząbek w towarzystwie Władysława Waliczka odwiózł je samochodem do Krakowa. W czasie podróży Maniakowa dogadała się z nimi i umówiła w słynnej „Jamie Michalikowej" w Krakowie. Zanotowałem: „kupiła od nich 360 sztuk dukatów, 37 „czworaków", 6 sztabek złota, 15 monet stukoronowych i cztery złote bransolety". Dla mnie skarb! A to jeszcze nie wszystko, razem złoto kupione przez Maniakową u wszystkich dostawców miało według cen skupu wartość prawie półtora miliona. Rozszerzy się bowiem zaraz krąg osób i kontaktów, a potem wszystko skomplikuje. Maniakowa będzie jeszcze brać towar u Ślimaków, Tomicka pojedzie po złoto na własną rękę z Korczem, czy też może Rozesłańcem. Rozesłańcowa przestanie kupować u Janiny Płowiec, kupując zamiast u pośredniczki wprost u Maniakowej, gdzieś tam zaginie i odnajdzie się, ze stratą, sztabka złota, Bernatowicz spróbuje oszukać nauczycielkę, dając w rulonie zamiast stu tylko dziewięćdziesiąt trzy dukaty, a wreszcie Czerwonka poprosi ją o pomoc w odzyskaniu ukradzionych mu przez Bernatowicza i Jarząbka monet, sztabek i dewiz wartości dwustu tysięcy złotych. Mówić będzie, żeby pojechała do tego ostatniego, poprosiła o dostawę złota, a gdy Jarząbek zbierze i będzie z tym jechał, on, Czerwonka zawiadomi MO i w Zaborni urządzi zasadzkę. Maniakowa zgodzi się, ale Jarząbek będzie już aresztowany. Jarząbek okradł bowiem także Podczerwińskiego. Pojechał z nim do Łodzi własnym samochodem, aby pomóc mu sprzedać tam z odpowiednio większym zyskiem złote dukaty ukryte w turystycznej torbie. Przyjechali na miejsce, zostawili samochód, a w nim drogocenną torbę, na jakiejś bocznej uliczce i poszli szukać kupca. Kupca nie było, a gdy wrócili, nie było także samochodu. Popłoch. Samochód się jednak wkrótce znalazł, stał parę przecznic dalej, zniknęła jednak turystyczna torba. Podczerwiński zawiadomił milicję. Tak trafiono na radomską filię „Czerwonej Oberży", na sprawę Krystyny Maniakowej.

Proces w sierpniu.

ZBIGNIEW NOSAL

Ewa Dąbrowska-Orzelska



niekochający
niekochani
siedzą naprzeciw siebie
nad stygnącą kawą
trzymają się za ręce
mówią o miłości

czego szukasz mówiła
jesteś śmieszna
śmieszna

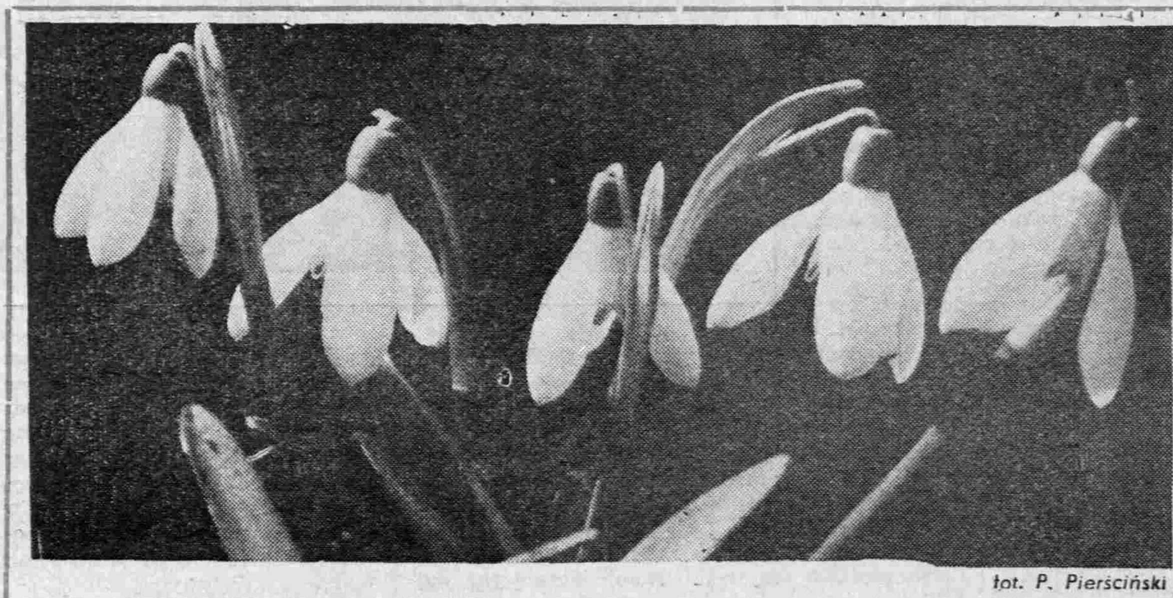
z wysiłkiem
poruszały się usta
na lśniącym kartonie

a jednak znów tu jestem
mogę ciebie dotknąć
to jest twój puls
czy żyjesz ty obcy człowieku
dla ciebie znów tu jestem
przebiegłam ci drogę
jak mały wystraszony zając
skrzyżuj palce
odstukaj
łatwo mnie zapędzić
w labirynty śmiertelne
gmatwaninę cieni

dla ciebie
wymyślono pożyteczne gusła
światła na skrzyżowaniach
bezpieczne zamknięcia
wszystko ma tu swą porę
wszystko ma swój cel

utrwaleni tak pewnie
w swoich dwóch wymiarach
niekochający mówią o miłości
niekochający
pod zielonym światłem

(fragment większej całości)



fot. P. Pierściński

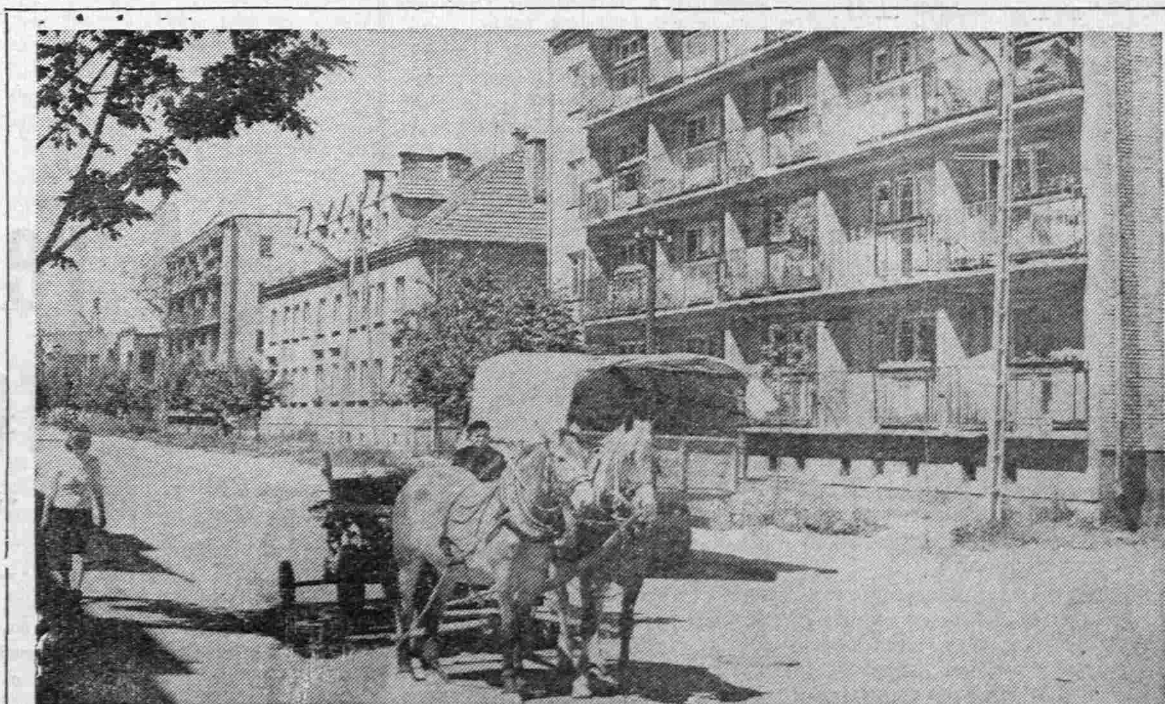
Łagodne przebudzenie

Wiesław Barański

Nie pamiętam, by któryś z kolegów dziennikarzy, pisząc o Jędrzejowie nie wspomniał dobrym słowem o Tadeuszu Przypkowskim. Sądzę, że nie ma w tym nic dziwnego, skoro nawet w Jędrzejowie mówi się, że jedynie on, człowiek światły i światowy, pozostał wierny temu miastu, podczas gdy inni, mając odrobinę oleju w głowie, uciekali stąd szparko i przezornie do innych miast, na lepsze posady. Jędrzejów z biegiem lat zamykał się coraz hermetyczniej. Zapędzanym tu różnymi splotami okoliczności przybłędom zawsze dawało się do zrozumienia, że są obcy, nikomu i do niczego w Jędrzejowie nieprzydatni.

Dopiero od jakiegoś czasu, kiedy w Jędrzejowie, mieście o 700-letnim stażu, powstał przemysł i to przemysł tak bardzo wyrafinowanie nowoczesny, jak dziewiarstwo w „Rekordzie", coś się zaczęło dziać w tym mieście. Wraz z „Rekordem" zatrudniającym blisko 2,5 tys. ludzi musieli przybyć z bogatej w doświadczenia w tym względzie Łodzi — specjaliści. W niewielkim tygielku jędrzejowskim zaczęły się mieszać różne ludzkie charaktery i punkty widzenia. Zaczęły pękać poukładane starannie od lat koneksje i koneksyjki, na które w Jędrzejowie nie było mocnych. Mocni bowiem wytrzymywali tu dwa, trzy lata i odchodzili. Średnio rocznie z Jędrzejowa emigrowało ok. 300 osób, a z całego powiatu blisko 1,5 tysiąca. Jeszcze dziś żyje tu i pracuje mniej mieszkańców niż liczył Jędrzejów przed wojną. Rzadko spotykany przypadek. Jedynie docent Przypkowski trwa dzielnie na posterunku.

Migracja łączyła się z ustabilizowaną od lat sytuacją gospodarczą miasta. Kilka spółdzielni, Fermentownia Tytoniu, Browar, „Drucianka" i drobne zakładziki dawały niewielkie szanse zatrudnienia nowym ludziom. Firmę się tu szanowało, chociaż pracę mniej. Do władz napływały skargi, donosy, anonimy. Niewiele się także w Jędrzejowie budowało (jeżeli nie liczyć dorodnych willi, budowanych systemem szturmowym), stare, rozsypujące się czynszówki nie nadawały się w większości do remontu. Miasto leżące tak blisko stolicy województwa, przy ruchliwym szlaku komunikacyjnym, drzemało sobie spokojnie. Podobnie zresztą rzecz wyglądała w całym powiecie. Urodzajna, lecz kapryśna gleba wymagała wyjątkowo troskliwej pielęgnacji; w porę wykonane zabiegi agrotechniczne gwarantowały urodzaj, ale nie zawsze można było w porę. Małe miasteczka do złudzenia przypominały stolicę powiatu.



fot. A. Pęczalski

Na szczęście zaczęło się tu wreszcie zmieniać. Nie powiem, żeby zmiany te następowały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ciągle trzeba je było hołubić dobrym słowem, podlewać dotacjami i pielęgnować codziennym wysiłkiem. Dla przykładu weźmy tak nowy zakład, jak „Rekord". Projekt tego zakładu rodził się na etapie, kiedy zaplecze socjalne przestawało być modne. I oto mamy zakład oddany do użytku załodze zaledwie rok temu, bez stołówki, żłobka w sąsiedztwie, świetlicy nadającej się do poprowadzenia tam narady produkcyjnej lub konferencji samorządu robotniczego. Na szczęście budowano zakład oszczędnie, zostało trochę pieniędzy, za które resort pozwolił zbudować przedszkole, żłobek, halę sportową itp

Budowana w Małogoszczu cementownia, która będzie produkowała rocznie 1.8 mln ton cementu, również wywołała sporo kontrowersji. Każda cementownia jest dla otoczenia złem koniecznym. Przy zastosowaniu najbardziej nawet wydajnych filtrów, kilka ton cementu będzie wylatywać przez komin. Ale prawda jest jedna: c e m e n t o w n i e b u d u j e s i ę t a m, g d z i e j e s t s u r o w i e c. Surowcami, jakimi dysponuje Kielecczyzna, cieszył się już Stanisław Staszic, cieszyliśmy się nimi wszyscy przez 20 powojennych lat. Przyszedł czas, żeby po nie sięgnąć i podzielić się nimi z całym krajem. Zasoby surowcowe wystarczą cementowni w Małogoszczu, według wstępnych obliczeń, co najmniej na 30 lat pełnej eksploatacji. Co będzie później? Może właśnie w Małogoszczu powstanie po 30 latach największy ogród - palmiarnia w środkowej Europie.

Chwilowo trwają tam intensywne prace budowlane prowadzone z rozmachem, ale uwzględniające wszystkie dotychczasowe, częstokroć gorzkie, doświadczenia. Obok podstawowej inwestycji realizowanej zgodnie z założonym harmonogramem, czynne są dobrze zaopatrzone kioski gastronomiczne, stołówki, wkrótce zostanie uruchomiony sklep mleczarski itp. Przecież będzie niedługo pracowało tam ponad tysiąc ludzi. W niewielkiej odległości od cementowni w miasteczku Małogoszcz buduje się osiedle mieszkaniowe. Zostanie ono przekazane załodze wraz z gotową cementownią.

Budowa tego kolosa została podzielona na dwa zasadnicze etapy. W 1974 roku ruszy pierwsza nitka produkcyjna, co pozwoli wyprodukować dodatkowo pół miliona ton cementu n a j t a ń s z e g o w kraju. W drugim etapie ruszą następne „nitki"

Powiat już dziś czerpie profit z tej inwestycji. Skierowano tu dodatkowo kilkadziesiąt milionów złotych na budowę dróg łączących cementownię z dużymi magistralami. Łamarnia kamieni całą swą próbną produkcję tzn. blisko 100 tys. ton kruszywa odstąpi dosłownie za grosze powiatowi, który ma nie najlepsze drogi. Z myślą o załogach „Rekordu" i „Małogoszczu" rozbudowuje się szpital powiatowy, który w normalnych warunkach na nowy 120-łóżkowy pawilon musiałby czekać do następnej 5-latki. Wreszcie przystąpiono także do budowy domu kultury. Obiekt ten wypadał z jędrzejowskich 5-latek trzykrotnie. Kiedy wreszcie nauczeni smutnym doświadczeniem planiści nie wstawili go do planu, budowa została rozpoczęta...

Następują także zmiany na lepsze w Jędrzejowskim Przedsiębiorstwie Budowlanym, działającym, jak większość tego typu przedsiębiorstw w województwie, bez zaplecza technicznego i ustabilizowanej załogi, od grudnia do stycznia. Już teraz usprawnia się organizację pracy, od września ma powstać OHP, chłopcy zamieszkają w hotelu po wyremontowanej szkole w Wodzisławiu. Czas najwyższy — JPB jest bowiem zdolne przełknąć rocznie niewiele ponad 100 mln złotych, gdy tymczasem apetyty i potrzeby mierzone są kwotą 170 milionów. Jędrzejów nabrał rozpędu, dobudzenie powiatu i miasta trwało długo, ale wreszcie po porannym przetarciu oczu zaczyna być widoczna jakaś perspektywa, jakiś cel.

Nie wiem, czy ta wymyślona naprędce reporterska przenośnia trafi do gustu sekretarzowi KP, Henrykowi Wronie. Kiedy z nim rozmawiałem, nie miałem pojęcia, że się nią posłużę. Sekretarz KP nie jest już w Jędrzejowie człowiekiem nowym, znają go niemal w każdej wsi, pisali i piszą także do sekretarza ludzie z miasta i terenu. Piszą dużo, zapominając często o adresie zwrotnym. Towarzysz Wrona powie mi później, że strach go oblatywał nad

tymi wszystkimi anonimami i donosami. Jak i z czego autorzy tych listów, nie nawykli w końcu do pisania, utrzymują się przy życiu? Kiedy pracują?

Codzienna poczta podpowiadała sekretarzowi kierunek działania: w pierwszej kolejności zająć się ludźmi. Uruchomienie „Rekordu" ograniczyło chyba o 70 proc. ilość korespondencji. Ludzie otrzymali pracę. Już coś zostało załatwione. Wprawdzie później przychodziły listy z „Rekordu", ale już podpisane. Dziewczęta uskarżały się na chamskie postępowanie jakiegoś importowanego z Łodzi „specjalisty".

Nie chodzi o szczegóły, sprawa została uregulowana, „specjalista" odgrzewający kiepskie tradycje majstra z przedwojennej fabryki wobec dziewcząt wychowanych w duchu socjalistycznej równości praw i obowiązków, po publicznym skonfrontowaniu swych poglądów, rozstał się ku zadowoleniu ogółu ze swym stanowiskiem. Dziewczęta natomiast już dziś wywiązują się nieźle ze swych obowiązków, za rok, dwa będą z nich fachmanki nie gorsze od tych sprowadzanych rok temu z Łodzi.

Tego rodzaju spraw drażliwych trafiało do sekretarza wiele. Wiele listów pisali ludzie autentycznie skrzywdzeni. Powtarzały się np. skargi na stosunki panujące w „Prefabrykatach". Pisali także o tym dziennikarze. Jeden z nich chyba ze trzy razy i trzy razy nie miał racji — mówi sekretarz. — Zajęliśmy się tym, zrobiliśmy ostre cięcia kadrowe. Zaczęli pisać inni. Zwalniały się całe rodziny, ale w zakładzie zapanował wreszcie spokój. Po tym „trzęsieniu ziemi" ludzie wreszcie pracują, wykonują zadania.

Zmieniliśmy — na skutek dochodzących do komitetu sygnałów — wszystkich prezesów i wiceprezesów w GS. Wydaje się, że zmiany wyszły na korzyść spółdzielniom. Fermentownia Tytoniu również otrzymała nowego kierownika. Zmian takich, jeżeli brać poważnie głosy ludzi zaniepokojonych brakiem gospodarności i kumoterstwem, należałoby dokonać więcej. Ale skąd wziąć aż tylu fachowców naraz?

Nie znaczy to jednak, że będziemy tolerować jakiekolwiek odstępstwa od obowiązujących nas wszystkich norm.

Przywiązujemy olbrzymią wagę do prawidłowych układów między ludźmi. W naszym pojęciu powinny się one kształtować możliwie korzystnie dla tych wszystkich, którzy codzienną pracą określają swe miejsce w środowisku. Energia ludzka musi być należycie skanalizowana. Piszą do nas nie tylko członkowie partii lecz także bezpartyjni, szukając tu w komitecie sprawiedliwości. Ich zdaniem, właśnie my możemy, a nawet powinniśmy rozstrzygać ich konflikty. Z jednej strony cieszy mnie to, a z drugiej martwi. Z listów, a także z rozmów przeprowadzanych z tymi ludźmi wynika, że większość i to znakomita większość spraw, z którymi się do nas zgłaszają, jest do załatwienia na miejscu: w zakładzie pracy, gromadzie, wsi, radzie narodowej.

Zastanawialiśmy się nad tym, jak uczulić aktyw na tzw. „stosunki międzyludzkie". Wystosowaliśmy do komitetów zakładowych i gromadzkich list w tej sprawie apelując o odczytanie i dyskusję. Muszę przyznać, że niechętnie go odczytywano, dyskusji prawie żadnej. Dopiero, gdy wybuchał jakiś nowy skandal, znów się robiła wrzawa...

Organizujemy spotkania członków KP w zakładach i gromadach, takie sobie powiatowe „Trybuny obywatelskie". Prosimy, żeby obywatele mówili o wszystkim, co im leży na wątrobie. Notujemy ich skargi i wnioski, próbujemy pomagać i po jakichś trzech, czterech miesiącach spotykamy się ponownie, żeby zdać relację z tego, co udało się załatwić. Uczestniczyłem w takiej „Trybunie" w Krzcięcicach, zaczęli tam budować trzy lata temu szkołę. Budowę przerwano, zabrakło pieniędzy, spróbowaliśmy pomóc i okazało się, że z powodzeniem.

Wprowadziliśmy zasadę otwartych drzwi do sekretarza: każdego dnia przychodzi kilkunastu ludzi ze swymi sprawami. Różnymi! Zaczynając od skarg męża na wiarołomstwo żony, a kończąc na księdzu, który szukał tu pomocy w sprawie realizacji przydziału materiałów budowlanych potrzebnych do remontu plebanii. Zasada otwartych drzwi zaczyna przeciągać się do godzin nocnych, bowiem i w mieszkaniu muszę załatwiać różne interwencje, np. w sprawie przyjęcia chorej do szpitala. Oczywiście nie wszystko można załatwić zgodnie z życzeniami naszych petentów: któregoś dnia przyszedł do mnie człowiek i przedstawił się: „górnik jestem", myślałem, że to nazwisko, ale okazało się, że zawód. Górnik ma w Jędrzejowie matkę staruszkę i brata, który zbudował tu sobie willę. Matka mieszka w budynku przeznaczonym do remontu. Dano jej nakaz opuszczenia mieszkania, co górnika zdenerwowało, oczywiście na władzę. Nie mógł zrozumieć, że w końcu matkę mógłby przyjąć do swojej obszernej willi jego brat.

W ogóle problem starszych opuszczonych przez dzieci ludzi, wymaga jakiegoś sensownego rozwiązania. Mamy ich w powiecie sporo. Chcemy odszukać dzieci tych ludzi, zaprosić do Jędrzejowa i postawić sprawę jasno: albo zabieracie rodziców do siebie, albo płacicie im alimenty. Inna sprawa: mamy około 600 rolników, ludzi w sile wieku, zaniedbujących swe gospodarstwa. Chcemy im zaproponować pracę w przemyśle, ich gospodarstwa zostaną, na odpowiednich warunkach, przekazane tym, co chcą pracować na roli.

Jest jeszcze, skoro znów mowa o rolnictwie, kilka spraw do załatwienia na wsi. W pierwszym rzędzie: zakres usług dla rolników. Warto w końcu doprowadzić do tego, żeby rolnicy zajmowali się rolnictwem, a nie walką z różnymi formami biurokracji handlowej czy administracyjnej. Np. chcemy, żebu skup żywca odbywał się wprost w zagrodzie rolnika. Podobnie, jak inne formy skupu. Szkoda, żeby rolnik tracił cenny czas na wciąż jeszcze nie najlepiej funkcjonujących punktach skupu i na odwrót. Potrzebne rolnikowi towary, chemikalia, czy zamówione wcześniej urządzenia lub maszyny powinno się mu dostarczać do zagrody. Skoro jest to możliwe w Poznańskiem, Opolskiem czy Bydgoskiem, powinno to się udać także u nas. Warto się o to zatroszczyć. Mamy dobre wyniki w rolnictwie, możemy mieć jeszcze lepsze. W skupie, co jest istotne, jesteśmy zaraz po Opatowie, dostarczamy najwięcej ziemniaków i jesteśmy potęgą w hodowli kurczaków. Plan kontraktacji na 1973 rok wykonaliśmy do połowy czerwca w 140 procentach.

Wszystko to mówię po to, by możliwie najlepiej scharakteryzować obecną sytuację powiatu, który zaczyna coś znaczyć w województwie Dodajmy do tego przemysł: sam „Rekord" produkuje na eksport towary wartości 900 mln złotych. Tona cementu na rynkach zachodnich kosztuje 20 dolarów, a za dwa lata będziemy tego cementu produkować bardzo dużo. Sam Jędrzejów zmieni swój charakter, ludzie mając pracę i mieszkania (w tej 5-latce zbudujemy 1000 mieszkań) nie będą już stąd uciekali, po prostu nie będzie takiej potrzeby. A przecież nam w naszej pracy partyjnej chodzi przede wszystkim o ludzi...

I to jest prawda, sprawy ludzkie były piętą Achillesową tego powiatu, w żadnym chyba komitecie nie było tak wiele skarg na złe, kumoterskie stosunki panujące na styku prezesów, dyrektorów, kierowników i pracowników lub robotników. Niesprawiedliwość rozpalała namiętności. W atmosferze zajadłych kłótni i podchodów produkcja i praca stawały się krępującym przydatkiem, niepotrzebną, dodatkową szykaną. Wprawdzie się nie pracowało, ale walczyło o pracę nie przebierając w środkach.

Na szczęście, mieszkańcy Jędrzejowa mają już ten etap poza sobą. Pracy starczy dla wszystkich, a zwłaszcza dla doc. Przypkowskiego, na którego w całej Europie czekają nadgryzione zębem czasu stare zegary. Ma on także coś do zrobienia w samym Jędrzejowie. Obok Muzeum Zegarów remontuje się zabytkową aptekę, gdzie będzie można oglądać zioła, którymi kiedyś leczono mdłe ciała.

Na razie oddani temu miastu i regionowi ludzie leczą chore, przepełnione zgryzotą dusze. Leczą z pomocą najskuteczniejszej, jaką zna ludzkość, terapii — pracą. Już są widoczne skutki, za rok, dwa zapomnimy chyba, że kiedyś panowała tu epidemia śpiączki. Po łagodnym przebudzeniu nadchodzi pracowity dzień.

WIESŁAW BARAŃSKI

recenzja

A jednak Kielce robotnicze

Jan T. Pilicki

Kielce mają wreszcie jako tako pełne opracowanie swoich długich dziejów. Po dwóch tomach monografii napisanej przez prof. dr Jana Pazdura, otrzymały obecnie trzecią część własnej historii, obejmującej okres lat 1918 — 1939. Doktor Jan Naumiuk, docent Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Kielcach obdarzył nas bowiem następną interesującą książką. „ROBOTNICZE KIELCE" — taki tytuł nosi wydana przez Wydawnictwo Łódzkie ciekawa i potrzebna praca, która wszechstronnie omawia powstanie i rozwój proletariatu kieleckiego oraz ruch robotniczy w Kielcach w okresie międzywojennym. Autor we wstępie m.in. pisze: „Kielce nie tylko w latach międzywojennych, ale i później nazywano różnie — jedni za Żeromskim zwali je „Klerykowem", drudzy — „miastem emerytów", a inni zaszczycali je dosadniejszymi epitetami. I tu rodzą się pytania: Czy słusznie przypinano miastu takie pejoratywne w swej istocie etykiety? Czy Kielce nie były czymś więcej?"

Jan Naumiuk wyczerpująco odpowiedział na te pytania. A sprawa nie była łatwa. Kielce to przecież — powiedzmy prosto — miasto nietypowe, także, „o niepowtarzalnej indywidualności i obliczu". Nie tylko dlatego, że ongiś były książęce, później, przez długie stulecia należały do biskupów krakowskich. Nie ważne jest (a może za to właśnie kocha się rozwijające i coraz piękniejsze dzisiaj Kielce), że miasto od dawna miało prawa miejskie, ale nie miało np. miejskiego wyglądu, że długo było biedną mieściną prowadzącą żywot niezamożny. Które więc z

dawnych „biskupich" miast zapisało chlubniejszą od Kielc kartę w dziejach walk narodowowyzwoleńczych i społecznych?

Kielecczyzna otrzymała Krzyż Grunwaldu za walkę z hitlerowskim okupantem, ale początki tej walki tkwią w dość odległych od nas czasach; zrodziły ją dawne, żyjące na tych terenach pokolenia. Ciągłość tradycji zachowano tu do naszych czasów. Kielcom wypadnie zapisać rolę pierwszorzędną.

„Robotnicze Kielce" są książką o robotnikach i rzeszy bezrobotnych Kielc; o ich walce o pracę i chleb, o polepszenie doli swojej i swoich najbliższych, o normalne ludzkie warunki życia i jaką taką egzystencję. Rzecz niedługa i zwięzła, pełna konkretnej treści o ludziach i wydarzeniach okresu międzywojennego.

Jan Naumiuk pisząc w „Przemianach" (październik 1971 r.) o drugim tomie „Dziejów Kielc" J. Pazdura, wspomniał, że „...kieleccy bezpośredni twórcy tradycji rewolucyjnych w „Dziejach Kielc" winni otrzymać zasłużoną satysfakcję, okupioną niegdyś krwią i zdrowiem straconym w sanacyjnych kazamatach". Sądzę, że obecnie kieleccy rewolucjoniści otrzymali pełne zadośćuczynienie: książkę ich pamięci poświęconą. Miasto ma od tej chwili nową, naukowo udokumentowaną metrykę jednego z najważniejszych okresów w swoich dziejach.

Okres tylko dwudziestu lat a jakże bogaty w wydarzenia. Pełen walki, jeszcze nie z bronią w ręku, ale także z wieloma tragediami, biedą i cierpieniami ludzkimi. „Nędzne, ciemne, wilgotne, duszne mieszkania — czytamy w odezwie strajkujących szewców-chałupników w 1931 r. — podobne więcej do nor, niż do siedzib ludzkich, niehigieniczne pracownie, pozbawione powietrza i światła, uczyniły z nas wlokące się szkielety ludzkie, zapadłe piersi są doskonałym siedliskiem gruźlicy i innych chorób, oczy wyżarte strachomą i wykrzywione od nadmiernego siedzenia nogi, czynią z nas widok godny litości". To typowy obrazek z dzielnicy robotniczej. Wiele jeszcze zostało do dzisiaj namacalnych śladów dawnych stosunków kapitalistycznych. Pakosz i Herby, dawna ulica Zagnańska (obecnie Dzierżyńskiego) i Dymińska. Tam głównie mieszkał kielecki proletariat. „...Domki dwuizbowe — pisze J. Naumiuk — wąskie kręte uliczki bez twardej nawierzchni, rozmokłe wiosną i jesienią, brak kanalizacji i jakichkolwiek urządzeń sanitarnych, składały się na widok kieleckich slumsów".

Autor „Robotniczych Kielc" dał nam wyczerpujące opracowanie dziejów ruchu robotniczego w mieście. Przedstawił wpływy i działalność robotniczych partii politycznych — KPP, PPS i innych oraz klasowych związków zawodowych różnych odcieni politycznych. Na tle struktury społecznej mieszkańców Kielc międzywojennych szczególnie wyeksponował rewolucyjny nurt ruchu robotniczego. Trzeba przyznać, że podana przez J. Naumiuka struktura społeczno-ekonomiczna wyglądała w tamtych latach dość interesująco. Dla przykładu podajmy, że w 1931 roku klasa robotnicza wraz z rzemieślnikami-chałupnikami, żyjącymi z pracy własnych rąk, stanowiła około 70 proc. ogółu ludności, gdy tymczasem przedstawiciele tzw. wolnych zawodów i urzędnicy nie przekraczali 8 proc. wszystkich kielczan. Właśnie w najliczniejszej grupie społecznej największe wpływy miały KPP i PPS, a także ówczesne związki zawodowe. „Kielce — stwierdza autor — były miastem biedoty robotniczej i chałupniczej, miastem „pariasów proletariackich" oraz właścicieli drobnych warsztatów rzemieślniczych".

Kielce w latach międzywojennych były więc specyficznym ośrodkiem proletariackim. Wkroczyły na drogę kapitalistycznego rozwoju stosunkowo późno, bo w ostatnim piętnastoleciu ubiegłego wieku. Połączone koleją z Zagłębiem Dąbrowskim stały się miejscowością, w której chętnie lokalizowano zakłady przemysłowe. Kolej, a z nią intensywnie wkraczający do grodu nad Silnicą przemysł, zdecydowały o dalszym rozwoju miasta. Stworzyły także nową klasę społeczną, która w czasach Drugiej Rzeczypospolitej nadała Kielcom charakter robotniczy, proletariacki.

Na wielu stronach „Robotniczych Kielc" znajdzie czytelnik relacje z szeregu zdarzeń i nierzadko dramatycznych walk robotników kieleckich, którym przewodziła załoga „Ludwikowa", największego wówczas zakładu, ale i także najbardziej aktywna pod względem społeczno-politycznym.

Masowe wiece i manifestacie pierwszomajowe, liczne masówki i strajki polityczne w Kielcach przedwojennych były zjawiskiem dość częstym. Bezrobotni nie tylko domagali się pracy i chleba, a zatrudnieni polepszenia ciężkich warunków pracy. Atakowali wyzysk kapitalistyczny i ustrój burżuazyjny żądając zaprowadzenia rządów robotniczo-chłopskich. W ogniu tych walk kształtował się jednolity front kieleckiej klasy robotniczej, do którego należała niedaleka przyszłość.

W dziejach miasta i regionu, na przestrzeni stuleci można odnotować wiele postaci godnych pamięci. W „Robotniczych Kielcach" znajdziemy szereg ludzi, których nie odstraszały terror policyjny ani ostre represje i groźba wieloletnich wyroków sądowych. Stanisław Toporowski, organizator i przywódca kieleckich komunistów. W 1937 r. walczył w Hiszpanii w szeregach Międzynarodowej Brygady im. Jarosława Dąbrowskiego. Druga wojna światowa zastała go we Francji, gdzie wspólnie z polskimi towarzyszami zorganizował oddział zbrojny. Został rozstrzelany przez gestapo na obcej ziemi w końcu 1942 r. Zaliczony we Francji — jak podaje J. Naumiuk — do panteonu bohaterów narodowych. Jan Waligóra, który całe swoje życie poświęcił sprawie proletariatu, i Wincenty Krawczyk, działacz komunistyczny i związkowy. Sporo miejsca autor poświęcił również działalności lewicowych socjalistów, wśród nich Janowi Łukawskiemu, Bolesławowi Śliwińskiemu, Romanowi Szmajdlowi i Antoniemu Chybowi.

Nowy, dotąd nie znany ogółowi społeczeństwa Kielc, punkt widzenia na dwudziestoletni okres historii „Civitas Kielcensis" autor uzasadnił bogatym materiałem faktograficznym, którego pełny wykaz zamieścił przy końcu książki. Znalazło się tu także kalendarium najważniejszych wydarzeń. Doskonała znajomość źródeł pozwoliła J. Naumiukowi dokonać rewizji niesłusznych dotąd poglądów na miasto, a także rewizji pamięci o ludziach, którzy tamtych dziejów byli współtwórcami. Książka jest więc pozycją godną uwagi. Ze względu na swe walory ideowo-wychowawcze i poznawcze winna się znaleźć w rękach mieszkańców Kielc i w bibliotekach wszystkich szkół. Przede wszystkim młodzieży kieleckiej należy ją szczególnie polecić.

„Robotnicze Kielce" zajmą w naszej dotychczasowej historiografii na pewno godne swoich wartości miejsce. Byłoby dobrze, gdyby autor kontynuował swoje badania o dalszym okresie historii Kielc i regionu. Czekają na opracowanie czasy straszliwej okupacji hitlerowskiej.



fot. A. Pęczalski



fot. Z. Sarnat

inaczej

Dokąd poniosą konie

Błażej Jackowski

HERMANN HESSE w swojej najlepszej, niedawno przetłumaczonej na polski i wydanej u nas książce „Gra szklanych paciorków" umieścił akcję w przyszłości, gdzieś po roku dwutysięcznym, i z tej przyszłej pozycji określa naszą epokę epoką felietonu jako zjawiska najbardziej charakterystycznego dla kultury obecnej. Hessego bardzo sobie cenię, co nie znaczy, żebym przytakiwał we wszystkim, gdyż w felietonie podaje się prawdę tak, aby nie była traktowana zbyt serio. Felietony Syryjczyka z II wieku czyta się w wieku XX tak samo dobrze jak współczesne Hamiltona. Nie wiadomo tylko, czy w XXI w. ktoś Hamiltona z „Kultury" poczyta, bo Lukiana na pewno, jeżeli oczywiście czytający nie wytrują sobie wcześniej środowiska.

Od czasów starożytnych nie zmieniło się znowuż tak wiele w charakterze i istocie działalności człowieka. „Z wami dzieje się podobnie, jak to mówią, że musiałoby się dziać z kimś, kto by na konia wsiadł szalonego. Koń porwałby go i ponosił. A ten by już nie mógł zsiąść z konia w biegu. Ktoś spotkałby go, zapytałby, dokąd jedzie. A ten by odpowiedział: — dokąd się jemu zechce — i pokazałby konia. I was też, jeżeli ktoś zapyta, dokąd gonicie, to chcąc prawdę powiedzieć, powiecie po prostu: tam... dokąd przyjemność pociągnie, a czasem opinia, a czasem chciwość. Czasem serce, a czasem strach, a czasem inna taka rzecz potrafi was ruszyć i ponieść. Bo wy nie na jednym koniu siedzicie, ale na wielu — każdy w inną stronę was niesie..." Dzisiejsze konie są bardziej komfortowe i szybsze niż te z czasów Lukiana z Samosaty, potrafią nawet już wyręczać nas w myśleniu. Nie wiadomo w czym zaczną wyręczać za lat kilka lub kilkanaście.

Zegiści — modne jest obecnie należenie do tej grupy na Zachodzie lansującej zatrzymanie rozwoju cywilizacji na poziomie zerowym — mają swoich starożytnych protoplastów, cyników, tylko ich też ponosiły konie, w drugą stronę.

Przyjaciel, który wrócił niedawno z wojaży, zafascynowany jest jeszcze widokiem morza i plaży pokrytej ropą naftową. Próbowałem ratować ambicję narodową mówiąc, że w Wiśle mamy fenol. „Co tam fenol — skwitował z pogardą — my zawsze jesteśmy do tyłu". Pomyślałem, że nie tak znowu bardzo, bo nasze konie coraz szybciej ponoszą i może kiedyś w końcu tamte zachodnie prześcigną. Przyjaciel, oprócz fascynacji nadmorskim widokiem był także nieco zaaferowany. „Ryby — zwierzył się w końcu. — Oni mówią, że w Tamizie niedługo będą ryby, żywe. Nie rozumiem, po co im te ryby. A niektórzy nawet szeptali mi, że jak dobrze pójdzie, to w Londynie nie będzie smogu. Mają rację ci, co mówią, że w końcu szlag trafi kapitalizm, bo pomyśl sobie, jaka u nich będzie wtedy cywilizacja całkiem do tyłu, na pewno ich przegonimy."

Dalsze rozważania przyniosły całkiem zachęcające perspektywy. Anglicy na pewno zaczną niedługo tłumami nawiedzać Zakopane, aby pooddychać prawdziwie londyńskim powietrzem, jeżeli tylko nie zawiodą ponoszące nas konie.

Lubię często wracać do lektury naukowych czasopism sprzed lat pięciu, piętnastu czy dwudziestu i zestawiać treści z lat różnych sygnowane tymi samymi nazwiskami. Dochodzi się wtedy do wniosku, że często człowiek przeczy sam sobie, zadziwiające jest, jak jeden rodzaj pewności zamienia się szybko w drugi nie pozostawiając miejsca na zwątpienie. Zwykle po takiej lekturze sięgam do książki Hessego, aby odczytać jedno tylko zdanie: „Uczony, który jako mówca, jako autor, jako nauczyciel — świadomie popiera kłamstwa i fałszerstwa, wykracza nie tylko przeciw zasadom organicznym, gdyż ponadto jeszcze, wbrew wszelkim aktualnym pozorom, nie przysparza wcale korzyści swemu narodowi, jeno ciężką wyrządza mu krzywdę, psuje mu powietrze i ziemię, żywność i napoje, zatruwa myśl i prawo, wspomaga zaś wszystko co złe i wrogie, co grozi narodowi zagładą." Zaczynam się wtedy zastanawiać, czy to nauka nas ponosi, czy też ją ponoszą nie okiełznane, na wpół ślepe konie.

WIERSZE

MARIA SIMONAJTIS-URBAŃSKA

Pragniesz

Pragniesz,
jestem napojem orzeźwiającym
napiłeś się
a pragnienia nie ugasiłeś

Pragniesz
jestem drogą kuszącą
dałeś krok tylko
a stałeś się wiecznym podróżnikiem

Pragniesz
kwiatem orchidei jestem
zerwałeś niechcący
stałeś się więźniem
mojej miłości

Ballada o drzemiącym dzwonniku

ze słowikiem nie muszę iść w zakład
Metropolitan Opera House nie zatrudni
La Scala nie zaprosi

to że mam głos cichy
wiem najlepiej
szeptać mogę do ucha
tylko tym ptakom górnolotnym
którym pozwalam się dziobać do krwi

to że mam głos ciekawy
znaczy tyle co wiosenny przelot
pierwszej jaskółki
być może jestem tym dzwonem
na który czeka
drzemiący gdzieś dzwonnik

* ★ *

MARIAN KUBICKI

O to proszę

Aby tylko para wołów
w deskach wóz.
Snopek żytniej słomy,
płachta lniana
powożący ktoś.

To wystarczy.

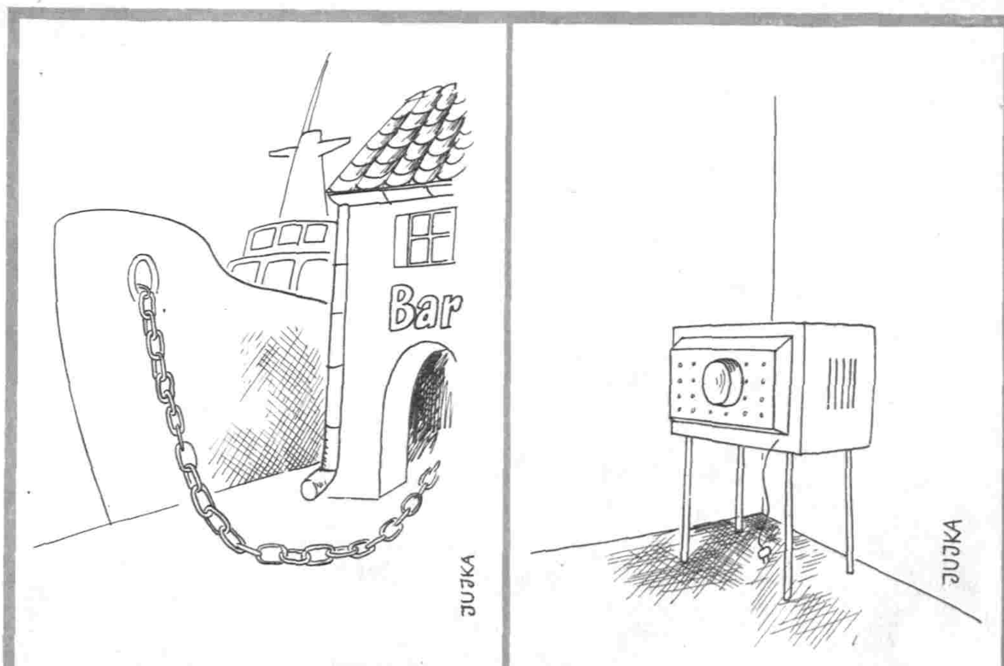
Nasmarować piasty kół,
by szły równo, koleiną.
Trumna zdatna.
Niech nie płacze nikt.
O to proszę.

A gdy macie gdzieś pochować,
to wykopcie dół
w miejscu swoim
w ziemi naszej
tam, gdziem ujrzał świat.

Wysokie topole
niech śpiewają,
jodła, modrzew, brzozy.
Drzewa bliskie
w mojej wsi.

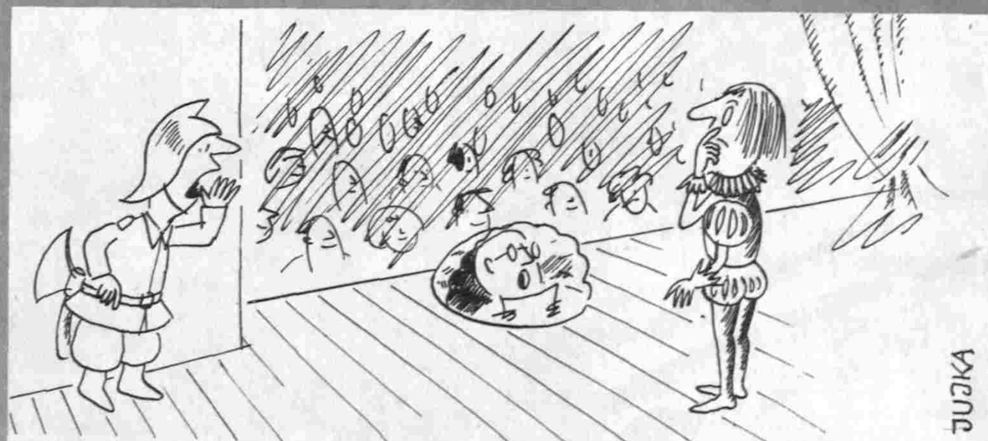
Tam odpocznę.

O to proszę.





Z urlopowej teki Zbigniewa Jujki















RADOM

Radom – największy ośrodek urbanistyczny Kielecczyzny – po kilku latach stagnacji wstąpił w kolejny okres rozwoju. Mówiąc o latach względnego zastoju – mamy na myśli nie zatrzymanie rozbudowy, miasto rosło nadal (o czym świadczą nowe osiedla, jak chociażby dzielnica XV-lecia), rozbudowywano przemysł, modernizowano zakłady już pracujące, miejską infrastrukturę w szerokim pojęciu tego słowa. W wyniku miliardowych nakładów inwestycyjnych miasto nad Mleczną, w którym – statystycznie rzecz ujmując – mieszka co dwunasty obywatel województwa, stało się jednym z najprężniejszych ośrodków tego typu w kraju. Natomiast częstokroć obserwowano zahamowania w rozwoju urządzeń komunalnych, przewlekłość inwestycji przemysłowych, obiektywne czynniki ograniczające szanse szybszej rozbudowy, wynikające z dojścia do tzw. „urbanistycznego progu". Koniecznością była gruntowna przebudowa systemu komunikacyjnego, instalacji energetycznych, wodociągowych, gazowych, zaplecza usługowego itp. Te wielce kosztowne inwestycje, „zakopywane w ziemi" dla przeciętnego mieszkańca są słabo dostrzegalne.

Aktualnie Radom dysponuje konkretnym planem rozbudowy, którego etap pierwszy zamyka rok 1990. Za lat osiemnaście miasto nad Mleczną liczyć będzie *około 230 tysięcy mieszkańców. Rozwój demograficzny to głównie* konieczność zapewnienia pracy i mieszkań, z całym zespołem inwestycji towarzyszących. Już w najbliższym czasie rozpocznie się w Radomiu wiele inwestycji o ogólnokrajowym znaczeniu. Garbarnia Skór Miękkich, której budowa zostanie niebawem ukończona, Za Maszyn do Pisania podległy „Walterowi", Wytwórnia Tarcz Telekomun jnych dla RWT, Zakłady Naprawcze Autobusów, Ośrodek Obliczeniowy S, Baza Remontowa Urządzeń Cieplno-Mechanicznych ZEOW, rozbudo abryki Łączników, „Waltera", „Radoskóru", modernizacja Odlewni – oto niektóre przykłady z bogatego rejestru inwestycji, które bądź są już w acji, bądź też wkrótce będą rozpoczęte.

Plan urbanistyczny zakłada g y kierunek rozwoju na osi północ–południe. Północ – to właśnie dzieln rzemysłowa zlokalizowana w rejonie Gołębiowa, zaś nowe dzielnice mie iowe zajmą rejony na południe od obecnego centrum. Największymi pl budowy będą w tym wypadku Ustronie i Młodzianów, gdzie wybuduje nad 30 tys. izb, Żakowice – 42 tys. izb, Godów – 17 tys. izb! Borki, Dłu , Idalin i Kozia Góra – to dalsze tereny przeznaczone do nowoczesnej z wy wielkoblokowej i osiedli domów jednorodzinnych.

Rozwój szkolnictwa, a m. in. wa wielkiego zespołu obiektów dla Wyższej Szkoły Inżynierskiej na prz ni prawie 50 hektarów, placówek służby zdrowia, kultury, usług, stała ro łowa infrastruktury komunalnej z oczyszczalnią ścieków, która czynna b już w 1975 r. – uzupełniają ambitny plan modernizacji miasta.

Będziemy, jak wszyscy miesz Radomia, z uwagą śledzić realizację tych założeń z przekonaniem, iż ieczność miasta nad Mleczną codziennym wysiłkiem wzbogaci ambitne pl owymi inicjatywami.

W. G.





wiem, poprzez pozyskanie rosyjskich i naddunajskich starowierców, zyskać ich przyjaźń i pomoc sprawie polskiej. Znalazł więc im w Konstantynopolu biskupa, z pochodzenia Albańczyka, żyjącego z mizernej pensji, bo zwolnionego z poprzedniej „funkcji" za... opilstwo.

W czym uwidoczniła się inna działalność Czajkowskiego na Wschodzie? Gdy na Węgrzech stłumił rewolucję żandarm Europy, car Mikołaj I, do Turcji przybyła nowa fala polskich emigrantów, „podpalaczy świętego porządku", wśród nich generałowie: Bem, Dembiński, Wysocki. Rosja i Austria domagały się wydania wychodźców węgierskich. Sułtan Abdul-Medżid stanowczo sprzeciwił się temu żądaniu. Zasługa to Czajkowskiego. Był już zaufanym doradcą Wysokiej Porty, miał w Turcji największe poparcie. Zjednał dla siebie, tym samym dla sprawy polskiej, wiele ludów bałkańskich. Szczególnie Bułgarzy i Rumuni niemało mu zawdzięczają. Musiał przejść na mahometanizm, gdy car własnoręcznie pisanymi listami do sułtana domagał się jego wydalenia z Turcji. Jako człowiek wiary Proroka mógł tu pozostać i dalej Polsce służyć. Występuje teraz jako Mehmed Sadyk Efendi. (Sadyk — po turecku wierny). Mieszkał w dużym, otrzymanym w darze od sułtana folwarku, którego zarządcą był dawny powstaniec Mucha, obecnie Mahmud Aga. *„Jako do nowego muzułmanina* — pisze Czajkowski — *zjeżdżali do mnie z okolicy wszyscy Turcy. Doskonale wiedziałem, że wśród nich nie było szczególnych amatorów postu i modlitwy. (...) Chcąc dawać dobry przykład i nie wodzić ich na pokuszenie, zbudowałem w ogrodzie śliczny meczet, a ponieważ Mahmud Aga tak samo świetnie potrafił śpiewać ALLACH-AKBAR, jak VENI CREATOR, mianowałem go imanem i zacząłem przyjmować gości modlitwą. Szczególnie gorąco zapraszałem na wieczorne modlitwy, podczas których trzeba było około siedemdziesiąt razy bić pokłony na kolanach. Moi goście pomału zaczęli się rozjeżdżać jeden po drugim rozpowiadając wszystkim, że ja jestem fanatyk — prawdziwy derwisz. Tym sposobem sąsiedzi odwiedzali mnie rzadziej, ale dobre stosunki zostały utrzymane".*

Niedługo cieszył się piękną dużą posiadłością ziemską. *„Jestem jeszcze* — pisał w końcu marca 1853 r. — *pod wrażeniem okropnego wypadku, jaki mnie spotkał. Dom, w którym mieszkałem, spalił się, moje pisma, notaty, broń, sprzęty, zgoła wszystko a wszystko — ośm młodych chartów i jeden koń na węgiel się spaliły."*

Michał Czajkowski wyjednał w Wysokiej Porcie, iż podczas wojny rosyjsko-tureckiej mogli służyć Polacy na odpowiedzialnych stanowiskach dowódczych. Ale tę szansę zaprzepaścili politycy Hotelu Lambert. „Czajka", ratując sytuację, został „mianowany paszą mirimiranem i dowódcą wszystkich Kozaków".

Własny skromny majątek pochłonęła organizacja pułku. Wcielał doń wszystkich, nawet zbójów i włóczęgów przebywających w więzieniach. „...*przyprowadzono mi tych ludzi, brodatych, zarosłych, obdartych, w kajdanach na rękach i nogach. Na trzeci dzień byli już ubrani w mundury kozackie. (...) Kiedym zobaczył tych mołodźców, dumnych, zuchwałych, prawdziwych diabłów wojny, myślałem, że śnię o dawnej Siczy zaporoskiej...*"

Pułk odniósł sporo wspaniałych sukcesów wojennych, dowódca zaś potwierdził swoje kwalifikacje. „Nasz ataman, jak go między sobą nazywaliśmy, dowodził nami i ciągle był z nami, a choć miał rangę jenerała, był nam prawdziwie batkiem — atamanem. A kiedy wydawał rozkazy, to nie zwyczajem jaśnie wielmożnych jenerałów — z kwatery jeneralskiej, otoczonej batalionami, dywizjami i bateriami. Główna kwatera jeneralska atamana „Czajki" była na bułanym, z czarną pręgą dońskim koniu".

Adam Mickiewicz z wielkim uznaniem wyrażał się o działalności „Czajki", miał także dla niego serdeczne współczucie. Z Paryża przyjechał nad Bosfor we wrześniu 1855 r., kilkakrotnie odwiedził Ludwikę Śniadecką, wiele dni spędził w obozie Kozaków w Burgas. W relacjach składanych księciu Adamowi Czartoryskiemu, m.in. napisał: *„Wybacz, książę, tym grubym słowom, nie moje są, ale muzułmana poważnego. Ten, mówiąc o rozprzężeniu formacji polskiej, rzekł z żalem: „Pytano nierządnicy, czemu nie urodzi dziecka? — odpowiedziała: "Co jeden zacznie, drugi psuje". Nie wiem, co p. Zamoyski zaczął, ale wiadomo, ile już popsuł".*

M. Czajkowski walczył o sprawę polską, ale równocześnie musiał toczyć ciężką walkę z ludźmi, którzy chcieli zniszczyć jego pozycję u Turków; z tymi samymi ludźmi, których kierował do Stambułu również Hotel Lambert.

Współczuła ma wierna, fascynująca i wspaniała żona, Ludwika Śniadecka. Oto fragment jej listów przechowywanych w zbiorach Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach, wysłanych w 1865 roku ze Stambułu do swoich i męża przyjaciół Gropplerów w Krakowie. Pisała je w ostatnich miesiącach życia przykuta do łoża epidemią cholery panującej wówczas w Turcji. „...*Chora jestem od dwóch tygodni, muszę leżeć w łóżku — i czego dotąd nie bywało trudno mi jest nawet pisać. Nie chcę jednak i nie mogę zostawić Pana bez odpowiedzi. Smutne są to okoliczności i zajścia. Wszyscy Polacy kochają nieszczęśliwą Ojczyznę, wszyscy chcą jej pomagać i służyć — różnią się tylko w sposobach niesienia jej pomocy, albo zbawienia — stąd niesnaski wiele szkody przynoszące słusznej sprawie. Korzystać z nich umieją nieprzyjaciele i potwarcy. (...) Sadyk (...) wiele cierpi, bo za tyle lat pracy, która mu tylko zgryzoty przyniosła, był wojowany przez swoich gorzej od Moskali. (...) Teraz tyle nieszczęść — nikt nie podaje ręki, gasną nadzieje, żeby Bóg zesłał choć zgodę. (...) Wszyscyśmy Polacy, kochamy Ojczyznę, ale każden po swojemu, wspólne uczucie miłości i niedoli powinno nas zawsze łączyć, chociaż nas zdania dzielą. Ja nie przywiązuję tyle wagi do (...) tego życia, ale ten, co od dzieciństwa jedną żył myślą — dla niej wszystko poświęcał, dożył jej spełnienia w części. (...)*

Po śmierci Ludwiki Sadyk Pasza staje się osamotniony, gnębi go także konflikt z dziećmi, które przybyły do Stambułu. „*Zawiedziony na dzieciach — przestaje w nich szukać przedłużenia swego jestestwa — zaczyna odmładzać siebie*". Greczynka Irena Teoskolo, „...osoba bardzo młoda, bardzo piękna i lubiąca towarzystwo męskie", zostaje ostatnią żoną „Czajki" — generała tureckiego. Z nią i swoim wiernym adiutantem, kapitanem dragonów Morozowiczem, opuścił Turcję i wrócił do kraju, by w upokorzeniu i niedostatku, w całkowitej zależności od „*złośliwej, despotycznej, w pożyciu przykrej, w dodatku rozpustnej kobiety*", dokończyć swojego „dziwnego żywota".

Ze swojej nowej „posiadłości" we wsi Borki, w guberni czernichowskiej, donosił w czerwcu 1879 r. dawnemu podkomendnemu, Tomaszowi Wierzbickiemu: „*Zaprawdę ci powiem, że żaden pustelnik, żaden pokutnik nie prowadził tak ascetycznego życia, jak ja prowadzę — i śmierci doprosić się nie mogę, by mnie, niepotrzebnego starca, wzięła z tej ziemi...*"

Strzał z pistoletu wypalony własną ręką w styczniową noc 1886 roku przerwał długie pasmo życia „szaleńca niepodległości".

* ★ *

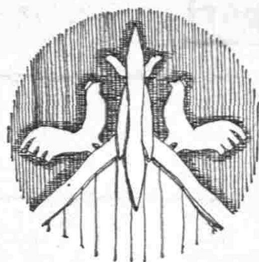
„*Całe swoje życie osobiste bezwzględnie podporządkował „sprawie polskiej". Nie hulał, majątku nie zbijał, jak to w podobnej sytuacji czynili inni. „Pieniężnie czysty aż do śmieszności" — dawał co miał. Cudzymi rękami nie zarabiał na sławę, lecz własnymi pracował na sławę cudzą, na podniesienie prestiżu człowieka, do którego był bałwochwalczo przywiązany, którego uważał nieomal za uosobienie ojczyzny*".

Powyższy cytat, jak i wiele innych zawartych w artykule, pochodzą z książki Jadwigi CHUDZIKOWSKIEJ: „Dziwne życie Sadyka Paszy", wydanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy w 1971 r.

TADEUSZ MASZCZYŃSKI



fot. J. Tobolski



Mogiła na Brzasku (II)

Świętosław Krawczyński

Zarówno w lutym, jak i w czerwcu, żywność dla więźniów przebywających w szkole przy ulicy Konarskiego dostarczała polska organizacja Czerwonego Krzyża. W rozdziale jej pomagała Sołtysiakowa. Stąd jej stosunkowo częste kontakty z prześladowanymi, tak bardzo użyteczne dla utrzymywania łączności ich z rodzinami. Dzielna kobieta bynajmniej nie akcentuje swoich zasług, ale nie można mieć ani cienia wątpliwości, że okazywała wiele hartu ducha i sprytu, nosząc grypsy, podając i odbierając butelki z napojami, przekazując bieliznę, zaopatrując nieszczęsnych w najpotrzebniejsze środki opatrunkowe. Każdy, kto przebywał w zamknięciu, wie, ile dobra wyświadczają takie ciche, cierpliwe, usłużne istoty, jak Sołtysiakowa. Opiekę lekarską nad towarzyszami niedoli w miarę skromnych możliwości objął doktor Krawczyński. Tak przynajmniej utrzymywała jego bratowa, władająca świetnie językiem niemieckim poznanianka, która z Zawichosta przybyła do Skarżyska z pieniędzmi, zebranymi ze składek od ludzi życzliwych dla doktora. Miała zamiar — jak się wówczas mówiło — „wykupić" go z aresztu. Niestety, nic z tego nie wyszło. Inne familiantki, Maria Pastuszkowa oraz Maria Skorupska dowiedziały się tylko od niej, że doktor jest współwięźniom potrzebny, bo leczy ich i że dlatego ocaleje. Nie ocalał, zapewne zdawał sobie sprawę z tego, co go czeka, lepiej od bratowej, bo obie Marie dostrzegły raz, jak stojąc w oknie płakał i dawał im ręką znaki pożegnania.

Przyjechała również z Iłży do Skarżyska Rennerowa z sześcioletnią wówczas córeczką, Danusią (obecnie Straszyńską). Była na ulicy Konarskiego kilkakrotnie. Zresztą gromadziło się tam w te straszliwe dni sporo krewnych i przyjaciół więźniów, aby coś im podać, albo ich choćby zobaczyć, aby w razie sprzyjających okoliczności nawet się z nimi porozumieć. I oto pewnego razu żona i córka notariusza z Iłży ujrzały go w oknie. Skinął na dziecko, więc Danusia pobiegła do ojca z karteczką wcześniej przygotowaną przez matkę. Udało się jej wyminąć wartownika i podać Rennerowi list. On miał również kartkę zmiętą dokładnie, wręczając ją Danusi szepnął: — nie daj tego nikomu, tylko mamusi... Dziecko wracało tą samą trasą, ale żandarm chwycił je za rączkę, chcąc wydrzeć gryps. Wtedy Danusia ugryzła go w dłoń tak silnie, że aż krew z niej poszła. Pchnął dziewczynkę, przewrócił ją na bruk, ale poderwała się szybko i pognała do matki. Skryły się w tłumie, który natychmiast wokół nich zgęstniał.

Widziałem tę pamiątkę rodzinną, obłożoną celuloidem, by się nie zniszczyła. Zwykła to karteczka, z zeszytu w kratkę, jakiego używa się do rachunków w szkole. Równym, drobnym, pięknym pismem notariusz z Iłży napisał do żony:

„Bardzo mi przykro, że byłem dla Ciebie niesprawiedliwy. Ja cierpię bardzo dlatego, że na to zasłużyłem" (Uwaga autora: — mimo szacunku dla wyrzutów sumienia magistra Rennera, i dla jego boleści, przerywam mu, by wskazać, jak wielkim był skrupulatem). *„Ale Ty robisz dla mnie wszystko, co tylko najlepsza żona zrobić może. Dlatego kocham Cię, jak nigdy może dotychczas (...) ogromna większość jest takich, jak ja, całkowicie niewinnych, mówimy między sobą, że nas będą wywozić. O ile to nastąpi, to miej ufność w Bogu, że pozwoli nam to wszystko przetrwać. Jestem zupełnie niewinny i absolutnie do niczego się nie poczuwam, więc nie może mnie spotkać nic złego. Na wszelki wypadek, gdybym został wywieziony, proś Prezesa Sądu Okręgowego o pomoc, oprócz tego staraj się u władz o moje zwolnienie z powodu ciężkiej choroby sercowej. Módlmy się i ufajmy, że to nieszczęście dla nas minie i że znów będziemy żyć spokojnie.*

Ściskam Ciebie i dzieci bardzo mocno — Feliks"

Jestem niewinny, więc nie może mnie spotkać nic złego. Jakie myśli i uczucia doprowadziły doświadczonego prawnika do tak właśnie ujętej wiary w niemiecką sprawiedliwość, której przeciwieństwo oglądał dookoła siebie? Niepodobna tego odgadnąć. W każdym bądź razie, obok idealizmu, z listu notariusza przebija ostrożność, zabezpieczająca i jego, i jego bliskich przed represjami na wypadek, gdyby kartka dostała się w niepowołane ręce. Zresztą Sołtysiakowie zeznają również, że aresztanci w tej grupie nie przewidywali egzekucji, owszem, mieli nadzieję na pomyślne zakończenie cierpień.

W dniu 28 czerwca przyjechał do szkoły jakiś hitlerowiec na motocyklu. Biegał po celach, wywrzaskiwał jakieś rozkazy. Zwołano zbiórkę więźniów w sali gimnastycznej. Sołtysiakowa rozdzielała im żywność, odbierała puste butelki po napojach, by je zwrócić rodzinom lub paniom z PCK. W korku jednej z tych butelek znalazła karteczkę od Tadeusza Cichockiego. Przeczytała z niej, że więźniowie będą wywiezieni do Niemiec i że powinna poszukać notesu, w którym Cichocki spisał swe przeżycia. Następnego dnia pod szkołę podjechały ciężarówki z opuszczonymi tylnymi burtami, przez które weszli aresztanci i SS-mani. Wozy ruszyły w kierunku Brzasku. Po opróżnieniu szkoły przez hitlerowców Sołtysiakowa odszukała zeszyt z notatkami Cichockiego. Był wetknięty w otwór w ścianie obok rury przewodzącej ciepło. Nie zapoznawszy się z treścią zapisów przekazała zeszyt niezwłocznie Józefie Bobowskiej z PCK, która obecnie mieszka w Warszawie.

Józefa Rennerowa przypomina sobie, że mąż jej został wywieziony w ostatnim samochodzie. Stanąwszy na jego platformie wzniósł ręce wysoko w górę, aby pokazać swym najbliższym, że nie jest skuty. Łudził się chyba, albo pragnął wbrew rzeczywistości pocieszyć żonę i dziecko...



fot. archiwum

A tymczasem na leśnej polance czekały na ofiary wykopane poprzedniego dnia doły. Dzieci z Brzasku podpatrzyły je i wieść złowroga rozeszła się lotem błyskawicy. Tak, że ludzie okoliczni spostrzegłszy ciężarówki na drodze, wiedzieli już, dokąd i po co one zdążają. Kryli się po ką-

łach swych biednych domostw i nasłuchiwali w napięciu. Jakoż niebawem rozległy się strzały broni maszynowej i ręcznej, zmieszane z krzykiem rozpaczy. Jak zeznał E. Paszkil, który natknąwszy się przypadkiem w lesie na wartownika w hełmie, zaczaił się w gąszczu o jakieś 200 metrów od miejsca kaźni, egzekucja była podzielona na kilka jak gdyby odrębnych akcji w odstępach kilkunastominutowych. Każda z tych akcji kończyła się pewną ilością pojedynczych wybuchów granatów ręcznych. Henryk Matuszewski zaś udał się następnego dnia tam, skąd słyszał strzały i zobaczył dwa świeżo zasypane długie doły w tej samej linii. W pobliżu dołów, na runie, pniach i gałęziach drzew czerwieniały plamki krwi i strzępy mięśni, nad którymi unosiły się roje much. Z sosenek pociski zdarły korę, ścięły wiele igliwa.

Oglądałem to miejsce w pełnym czci dla pomordowanych skupieniu, starając się jak najwięcej i jak najwierniej zachować w pamięci. Mogiłą opiekują się, jak można przeczytać na plakietce, Zakłady Metalowe i Technikum Metalowe w Skarżysku, i opiekują się dobrze. Dowodem porządek, jaki panuje tu i w najbliższym otoczeniu.

Głównym akcentem mogiły jest obelisk z czerwonego kwarcytu, zdobny w krzyż, palmy męczenników, tablicę żeliwną z napisem:

„Przechodniu! Powiedz Polsce —
tu leżym, Jej syny,
posłuszni i wierni do ostatniej
godziny"

Przed obeliskiem, jako jego forpoczta, wielki Orzeł Biały z rozpostartymi skrzydłami, którego dziób jest połączony z nogami łańcuchem. Oznacza to, że orzeł zrywa kajdany niewoli. Symbolika w Polsce tradycyjna, wywodząca się z walk wyzwoleńczych, i żywa w pamięci pokoleń. Jakże trafna, jakże czytelna dla wszystkich, co przychodzą na mogiłę, by oddać hołd ofiarom terroru.

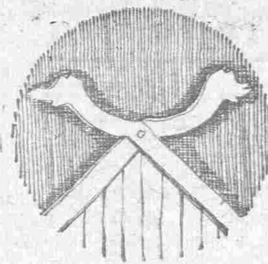
Słońce zaczęło przygrzewać, czuby sosen chwiać się i szumieć. Odezwała się gdzieś zięba, między zawilcami, które podeszły grupką pod sam cokół obelisku, zaszeleściła jaszczurka. Jak rubiny zabłysły jej oczy. I bodaj wtedy wpadło mi na myśl, że pod Łysicą mawia się: — w lesie, jak u stryja. Skąd to przyrównanie? — i co właściwie wyraża? Jak mniemam, powstać mogło w chwili, gdy ktoś, przedarłszy się przez chłostającą go śniegiem zamieć, schronił się za zbawczą ścianą drzew na skraju puszczy. Ale i tu, na Brzasku, może być podzwonnym tragedii, jaka się przed laty w tym miejscu rozegrała. W lesie, jak u stryja... Powiedziałbym nawet: — w lesie, jak u stryja za pazuchą. Bo zacisznie i ciepło.

ŚWIĘTOSŁAW KRAWCZYŃSKI

P. S. W czasie, gdy piszę ten szkic, pod koniec maja 1972, docierają do Kielc, wieści, że w Hamburgu za kilka tygodni ma się toczyć proces Paula Fuchsa, kierownika referatu IV A i B w gestapo radomskim, zbrodniarza, w którego zasięgu działy się także akcje ludobójcze w Skarżysku, zarówno w Borze, jak na Brzasku.

Pierwszy odcinek zamieściliśmy w lipcowym numerze „Przemian"

sport



Następcy Filippidesa

Mieczysław Kaleta

Helleński mit... Rączy wojownik ateński, Filippides, posłany został z Maratonu do Aten z wieścią o wspaniałym zwycięstwie nad Persami. Nie zważał na rosnące zmęczenie, łamał słabość. Dotarł na miejsce, powiedział jedno, jedyne słowo: zwycięstwo i padł martwy.

Żyła w greckim narodzie pamięć o tym niezwykłym wyczynie. Siła wymowy Filippidesowego poświęcenia była tak ogromna, że kiedy w 2376 lat później, w tych samych Atenach organizowano pierwsze igrzyska olimpijskie ery nowożytnej, nie zapomniano o wyczynie z poprzedniej ery. Zorganizowano długodystansowy bieg na takiej samej trasie, jaką przyszło wtedy pokonywać maratońskiemu posłow.. I po dziś dzień bieg ten stanowi niezmiennie największe wydarzenie każdych igrzysk olimpijskich. Los, najlepszy reżyser życiowych wydarzeń, sprawia, że współcześni maratońscy biegacze przeżywają dramatyczne chwile, nawet na miarę swego protoplasty...

Pierwsze igrzyska ery nowożytnej. Pierwszy bieg maratoński. Na starcie w Maratonie stanęło 25 odważnych, w Atenach czekało na nich przeszło 100 tysięcy widzów. Jeszcze na przedmieściu Aten stawkę rywali prowadził zdobywca złotych laurów w biegach na 800 i 1500 m Australijczyk Flack. Im bliżej było mety tym szybciej tracił siły. Pewny, wydawało się, trzeci sukces wymykał mu się z rąk. Wyczerpany zaczął się słaniać na nogach. Wkrótce wyprzedził go 25-letni grecki listonosz, Spyros Louis. Falk padł wyczerpany nie kończąc biegu.

* ★ *

Innego rodzaju dramatyczne sceny rozgrywały się w biegu maratońskim trzecich igrzysk w amerykańskim mieście St. Louis. Najpierw zameldował się na mecie Amerykanin Lorz a potem został doprowadzony do mety przez przyjaciół inny Amerykanin Hicks. Gdyby nie oni, Hicks na ostatnich metrach nie byłby w stanie zrobić nawet pół kroku.

Później okazało się, że Lorz przebył pół trasy w... samochodzie, a Hicksa także należało zdyskwalifikować. Gospodarze nie zdobyli się jednak na taki obiektywizm i złoty medal stał się własnością biegacza doprowadzonego do mety.

* ★ *

Czwarte igrzyska, Londyn, rok 1908. Gdy na starcie maratonu stawało 59 zawodników, nikt z obecnych na stadionie White City nie przypuszczał, że w dwie i pół godziny później będzie oglądał wydarzenia, które wejdą na stałe do historii igrzysk.

Po 30 kilometrach biegu na czoło stawki wysunęła się drobna, niepozorna postać z numerem 19 na piersiach. Nikt nie znał tego zawodnika. Reprezentant I-

---

JERZY LESZCZYŃSKI

FRASZKI

DOJRZAŁOŚĆ

Wtedy dopiero ziarno dojrzewa
gdy widzi, że je otacza plewa.

REFLEKSJE NAD REFLEKSEM

Zawsze robimy się aktywni,
kiedy już dawno działa przeciwnik.

ZAPALEŃCY

Przejmują się niektórzy
knoceniem tak dalece,
że chętnie by bez knotów
produkowali świece.

PROGNOZY NA PRZYSZŁOŚĆ

Nie będą zależeć,
miejmy nadzieję,
od tego, z której
strony wiatr zawieje.

UCZNIOWSKIE KŁOPOTY

Przerósł mistrza, ale
nie wie, co począć dalej.

SLOGAN

Jedz i wygłaszaj piękne mowy —
świat stoi otworem gębowym.

SKROMNA

Spuści oczęta —
i już zasłonięta.

O SKUTECZNYM WÓD OCZYSZCZANIU

Niech swoje ścieki każdy sam wypije —
bez zawracania Wisły kijem.

OBSŁUGA RUCHU TURYSTYCZNEGO

Oddana bez granic —
turystom z dewizami.

talii, piekarz z San Remo — Pietri Dorando, o którym do tej pory nie słyszano. A więc sensacja! Włoski biegacz zaczął systematycznie powiększać swoją przewagę nad faworyzowanymi rywalami. 100, 200, 400, 600 m... Już przedmieścia Londynu. Mały ciałem a wielki duchem Dorando zaczął tracić siły. Rywale zmniejszali straty w odległości.

Już stadion! Ostatkiem sił Dorando, nie wbiega, ale wchodzi niemal, powłócząc nogami, na bieżnię. Publiczność z całych sił dopinguje małego bohatera, widząc, jaką tragedię zaczyna przeżywać. Dobył resztki sił. Nie mógł jednak już ustać na nogach. Padł. Krzyk rozpaczy przeszedł po trybunach. Pietri wstał. I znów padł. Jeszcze raz. I jeszcze. Potem czwarty raz. Do mety było już tak blisko. I tak strasznie daleko. Nogi ugięły się pod nim już po raz piąty. Widownia zamarła. Pietri czynił rozpaczliwe wysiłki, aby się podnieść. Na próżno. Trybuny żyły rozpaczą i bólem małego Pietri. Znów jedna próba powstania. Daremna. Tymczasem w bramie stadionu pojawił się pierwszy konkurent. Widownia nie mogła znieść ładunku napięcia tej sytuacji. Wzmógł się doping dla półprzytomnego człowieka usiłującego jeszcze pokonać własną niemoc. Usłyszał Pietri ten krzyk. Podjął jeszcze jeden, zupełnie heroiczny wysiłek powstania. Ale mógł już tylko uklęknąć. I w tym momencie doszło do najbardziej dramatycznej, właściwie tragicznej sceny, jedynej w całej historii igrzysk.

Pietri zaczął zdążać do mety znajdującej się o kilka metrów przed nim, na czworakach. Czołgał się do wymarzonego celu. Tego już widownia nie mogła przeżyć. Rozległy się krzyki domagające się od sędziów, by pomogli dojść do mety człowiekowi, którego tragedia przejąć musiała każdego ze świadków. Przecież przed czterema laty ponad kilometr prowadzono Amerykanina. Właśnie... Sędziowie teraz nie chcieli powtórzyć tamtego błędu. Publiczność nie wytrzymała już nerwowo. Znany literat, Artur Conan Doyle, twórca postaci Sherloka Holmesa, z nim zaś inni ludzie, wpadli na bieżnię podnosząc nie zdającego sobie już z niczego sprawy włoskiego biegacza. Nie chcieli, by ktokolwiek go wyprzedził. Przez kilka ostatnich metrów pomagali mu dojść do celu. Amerykanin Hayes był drugi.

Sędziowie zdyskwalifikowali Dorando. Złoty medal zdobył Hayes. Bohaterem tej olimpiady został jednakże maleńki Włoch. Po dziś dzień jest jednym z najpiękniejszych przykładów wspaniałej, do ostatnich sił prowadzonej walki z własną słabością. Nikt przed nim i nikt po nim nie czynił tego z takim uporem. Nikt nie zmierzał po zwycięski laur na kolanach! Dorando na zawsze pozostanie symbolem dramatu, jaki rozgrywa się na Filippidesowym szlaku.

Symbolem tragedii, prawdziwym współczesnym Filippidesem, jest i będzie Portugalczyk Lazaro. Na piątych igrzyskach, w roku 1912 w Sztokholmie bieg maratoński był rozgrywany w 38-stopniowym słonecznym żarze.

Raz po raz któryś z biegaczy walił się z nóg. Kiedy bieg wchodził w decydującą fazę, z 68 startujących już połowa nie mogła go kontynuować. Kilku dalszych w oka mgnieniu traciło resztki sił. Wśród nich Lazaro. Widać już było stadion, gdy granice wytrzymałości jego organizmu zostały przekroczone. Na dwa kilometry przed metą reprezentant Portugalii padł bez przytomności. Nigdy jej już nie odzyskał. Zapłacił najwyższą ludzką cenę, życie, za przekroczenie bariery wytrzymałości własnego organizmu. Prawdziwy, do tragicznego końca, spadkobierca Filippidesa!

* ★ *

W miarę upływu czasu maratończycy byli coraz lepiej przygotowani do znoszenia trudów tej pięknej i jakże wymagającej konkurencji. Dramatycznych momentów nadal nigdy w niej nie zabrakło.

Pierwsze igrzyska po drugiej wojnie światowej. Powtórzył się niemal dramat piekarza z San Remo. Ponad pół miliona mieszkańców Londynu wyległo na ulice miasta, by z bliska oglądać wspaniałą walkę najlepszych, najodważniejszych biegaczy świata. Belg Gailly prowadził stawkę rywali. Przed stadionem miał jeszcze ponad sto metrów przewagi. Pierwszy wbiegł do bramy stadionu, pierwszy na bieżnię. Tu nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ledwie stawiał kroki, z trudem idąc. Prześcignął, nie mogącego już podjąć walki, Argentyńczyk Cabrera, potem jeszcze Anglik Richards. Gailly dobrnął jakoś do mety. Był tak dalece wyczerpany, że nie mógł stanąć na podium, by odebrać brązowy medal. Przyjaciele zanieśli go do szpitala, gdzie lekarze starali mu się przywrócić siły.

* ★ *

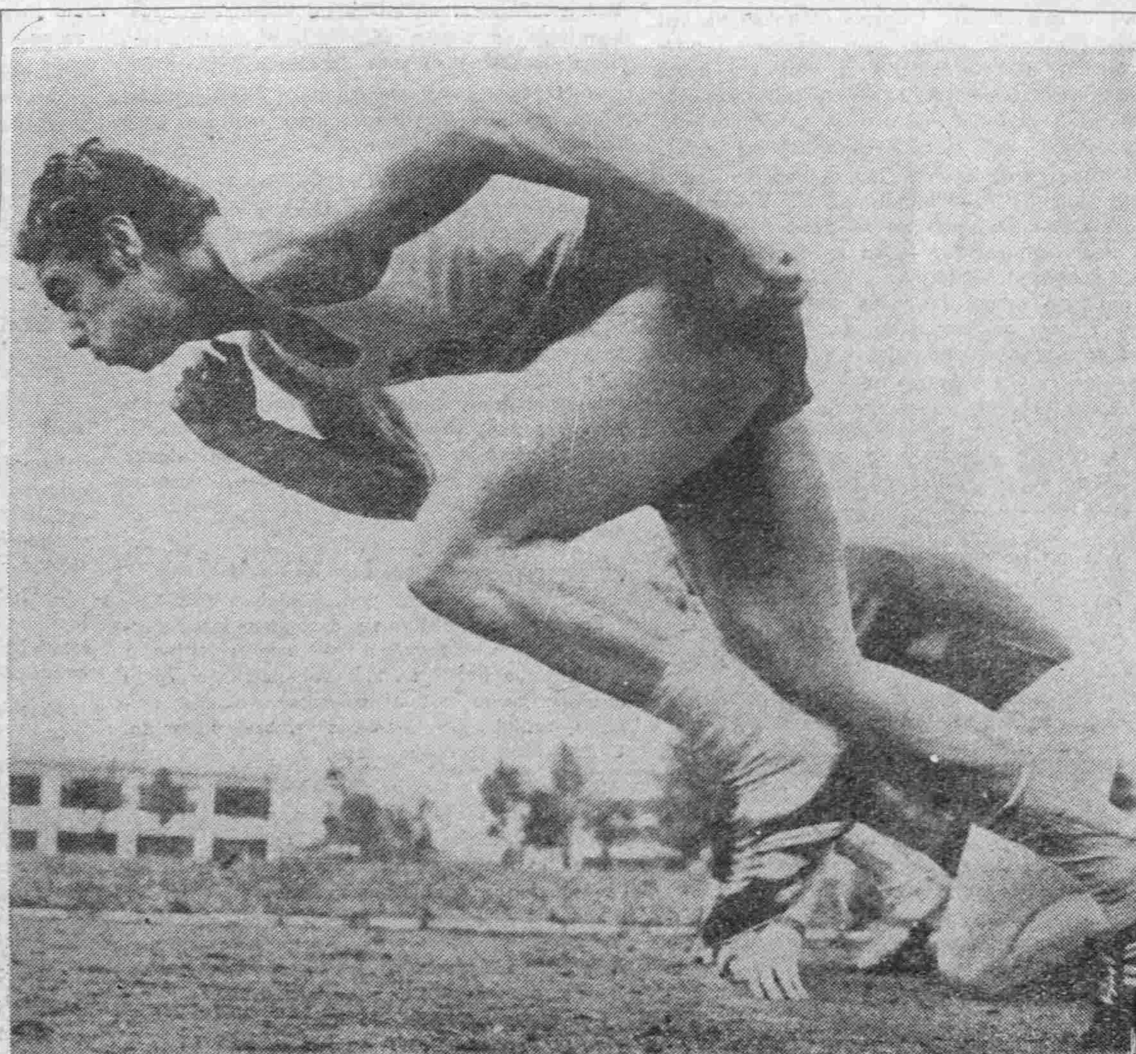
Inny znów dramat przeżył na pamiętnej meksykańskiej olimpiadzie znakomity australijski biegacz Clark. Istny „pożeracz rekordów", bijący seryjnie rekordowe osiągnięcia na przeróżnych dystansach, marzył jeszcze o olimpijskich laurach. Meksykańskie warunki atmosferyczne bezlitośnie obchodziły się z wieloma marzycielami. Najbardziej chyba z Clarkiem. Nie było wówczas, i nie ma chyba także dziś, wspanialszego biegacza. W swej klasie był niepokonany, niezniszczalny. Nie wygrał jednak na 5 km, nie wywalczył złota na 10 km. Stanął więc do walki na trasie maratonu. Ostatnia szansa w życiu. Biegł znakomicie, prowadził. Jednak nie do końca. Przybiegł na metę daleko za zwycięzcami. Najlepszy długodystansowiec świata pozostał bez złotego lauru, nie stanął na najwyższym podium. Rekordy się traci, olimpijskich laurów — nigdy!

* ★ *

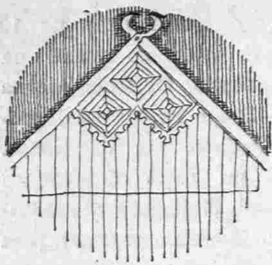
Wkrótce zapłonie w Monachium znicz Igrzysk XX Olimpiady. Po raz dwudziesty staną odważni na Filippidesowym szlaku. Czy znów znajdą się jego spadkobiercy? Czy historia dramatów tego biegu powiększy się o nowe wydarzenia?

Nie sposób odpowiedzieć na te pytania. Wiadomo jednak z całą pewnością, że znów bieg maratoński stanie się największym wydarzeniem igrzysk. Transmitowany w całości przez telewizję skupi na sobie uwagę całego sportowego świata. Będziemy się nim pasjonować, będziemy go przeżywać, jak przystało na konkurencję wywodzącą się z najbardziej heroicznych legend tamtej ery. I chyba w tym czasie nie potrafimy zapomnieć o czołgającym się na klęczkach, maleńkim Włochu, czy też życiem płacącym Portugalczyku.

MIECZYSŁAW KALETA



fot. archiwum



Ostatnie dni Jesienina

Elwira Wałała

Żegnaj przyjacielu, do widzenia,
Drogi mój, od krwi serdecznej bliższy
Ta rozłąka w ciemnych przeznaczeniach
Obietnicą połączenia błyszczy.
Żegnaj, bez uścisku dłoni i bez słowa,
Nie martw się, cień smutku z czoła przegoń:
W życiu ludzkim — śmierć to rzecz nie nowa
A i życie samo — nic nowego.
(przekł. T. Mongirda).

Tym wierszem Sergiusz Jesienin kwitował swoje porachunki z życiem. Napisał go w przeddzień swej tragicznej śmierci krwią, przecinając sobie w tym celu rękę żyletką.

Akt potęgującej się psychonerwicy, czy rozmyślna decyzja? W każdym razie nikt poważnie nie przyjął jego oświadczenia, że zrobił to, gdyż w leningradzkim hotelu „Angliter", w którym przebywał w tych grudniowych dniach 1925 roku, zabrakło atramentu.

Wielu radzieckich biografów gotowych jest sądzić, że był to kolejny trick Jesienina i gdyby Erlich, któremu wręczył tę napisaną krwią kartkę, nie zapomniał o niej — sprawy potoczyłyby się inaczej...

„Gdyby on (wiersz — przyp. E.W.) był wcześniej przeczytany, Jesienina na tę noc nie zostawiliby samego" — komentuje G. Ustinow — naoczny świadek ostatnich dni życia poety i już nie bez racji dodaje: — Na tę noc! A co robić z kolejnymi nocami!

Tragiczna śmierć Jesienina stała się wynikiem z góry zaplanowanej decyzji, czy był to jego kolejny atak potęgującej się choroby psychicznej? — oto dylemat, nad którym zastanawiają się badacze.

Nie narzucając czytelnikowi żadnych sugestii spróbujmy odtworzyć te ostatnie pięć dni (od 24 po 28 grudnia) życia poety w relacji naocznych świadków...

Nie ma we mnie żalu, ni badania,
Wszystko we mnie mgłą jabłoni białą,
Ogarnięty złotem zamierania
Żegnam młodość z wiatrem przeszumiałą.
(przekł. T. Mongirda).

DZIEŃ PIERWSZY

J. USTINOWA:

24 grudnia 1925 roku, rankiem, o godzinie dziesiątej wbiegł do nas w czapce i szaliku rozpromieniony Jesienin.

— Skąd, gdzie palto, z kim?

— Zatrzymałem się tu. Dzisiaj z Moskwy, biegnę wprost z dworca. Portier mi powiedział, że jesteście tu; chciałem być razem z wami, więc wynająłem pokój nr 5. Chodźcie do mnie. Posiedzimy, napijemy się szampana.

— Ciociu, przecież to z okazji mojego przyjazdu, innego wina nie piję.

Poszliśmy do niego. Jesienin oświadczył, że z Moskwy wyjechał na zawsze, zamieszka w Leningradzie i zacznie tu nowe życie — z alkoholem skończył na zawsze, do żony nie wróci, mówił o całkowitym odnowieniu swego życia.

W. ERLICH:

Z rana wyszedłem z domu. Gdy wróciłem, zastałem w pokoju bałagan: odsunięty stół, na podłodze rzędem trzy walizki, na walizkach kartka: „Pojechałem do lokalu Michajłowa. Czekam tam na ciebie, Sergiusz". Wychodzę. Przy bramie oczekuje na mnie dorożkarz.

— U Michajłowa zamknięte. Pan rozkazał wieźć się do „Anglitera". Tam mieszka jakiś jego przyjaciel, czy krewny.

Krewnym okazał się G. Ustinow, kolega Jesienina, który mieszkał w 130-tym pokoju. Jesienina zastałem w jego „własnym" pokoju w towarzystwie Jelizawiety Ustinowej. Siedzieliśmy niedługo, pojechałem do domu, Jesienin z Ustinową do sklepów.

J. USTINOWA:

Jesienin poprosił, żeby go nakarmić, a potem jechać z nim, kupić jedzenie na dni świąteczne... Opowiadał o małżeństwie swej siostry Kati, śmiał się, że mu to już nie grozi, ponieważ trzykrotnie był żonaty, a na więcej konstytucja nie pozwala.

W. ERLICH:

Powtórnie zebraliśmy się o czwartej po południu. W pokoju zastałem — oprócz Ustinowa — Uszakowa (redaktor, który też mieszkał w „Angliterze"). Trochę później przyszedł Kołotow. Dozorca zdążył już przynieść rzeczy Jesienina. O dziewiątej zostaliśmy sami.

Do godziny jedenastej Jesienin mówił o tym, że już czas, żeby on podobnie jak Niekrasow, zaczął redagować dziennik; o tym, że nie rozumie i nie chce rozumieć Anatole France'a i o tym, że nie podobają mu się listy Puszkina... Powoli zasnęliśmy.

Piętnem śmierci wszyscyśmy znaczeni;
Cicho liście wiedź skapuje z klonów
Błogosławię mądry ład Jesieni —
Przekwitnienia czas i porę zgonu.
(przekł. T. Mongirda).

DZIEŃ DRUGI

J. USTINOWA:

... na drugi dzień Jesienin obudził nas skoro świt, około piątej nad ranem. Przyszedł w czerwonym szlafroku, taki domowy, intymny. Zaczęła się rozmowa na temat jego pierwszych twórczych kroków o Klujewie, do którego Jesienin chciał natychmiast jechać. Z trudem namówiłam go, żeby trochę poczekał aż rozświta.

W. ERLICH:

Pierwsze słowa, które usłyszałem od niego w ten dzień:

— Posłuchaj, pojedziemy do Klujewa?

— Pojedziemy.

— Nie, na pewno pojedziemy?

— Tak, pojedziemy. Tylko trochę później. Ale pamiętaj, nie znam jego adresu.

— Głupstwo! Pamiętam. Pomyśl tylko; kłócimy się z Klujewem każdego razu przy spotkaniach. Jesteśmy różnymi ludźmi. Ale nie widzieć go nie mogę. Jak był on moim nauczycielem, tak pozostaje. Lubię go...

Podnieśliśmy Klujewa z łóżka. Podczas, gdy on się ubierał, Jesienin podniecony oznajmił:

— Rozumiesz? Kocham go. Jest moim nauczycielem. Pomyśl tylko — nauczyciel! Słowo to jakie!

W kilka minut później:

— Mikołaj, można przypalić od lampki pod obrazem?

— Coś ty, Sierioża! Jak można! Masz, oto są zapałki. Zapaliliśmy. Klujew poszedł myć się. Jesienin śmiejąc się:

— Wiesz, zażartujemy sobie z niego!

— W jaki sposób?

— Zgaśmy lampkę. On nie zauważy. Jak Boga kocham, nie zauważy.

— Niedobrze. Obrazi się.

— Głupstwo. Przecież nie robimy tego na złość! A tak, dla żartu.

Zgasił.

— Tylko milcz! Rozumiesz, milcz! On i tak nie zauważy.

Klujew rzeczywiście nie zauważył.

J. USTINOWA:

W południe, o godzinie 12 w pokoju Jesienina byli obecni: Klujew, rzeźbiarz Mansurow i ja. Sergiusz Aleksandrowicz zapoznał mnie z Klujewem.

— Ciociu, to mój nauczyciel, mój starszy brat.

W. ERLICH:

Jesienin recytuje ostatnie swoje wiersze.

— Mikołaj. Jesteś moim nauczycielem. Więc słuchaj.

Nauczyciel słuchał. Kiedy Jesienin skończył recytować, jakiś czas trwało milczenie. On domagał się, żeby Klujew powiedział, co sądzi o jego wierszach. Mądry Klujew długo się wahał, nareszcie zadrwił:

— Myślę, Sierioża, że gdyby te wiersze zebrać do jednej książki, stałyby się one codzienną lekturą grzecznych panienek i delikatnych młodzieńców zamieszkałych w Rosji.

Jesienin sposępniał.

Klujew odszedł o czwartej. Obiecał wieczorem wpaść, lecz nie przyszedł.

J. USTINOWA:

Nazajutrz Jesienin mówił, że wyrzucił Klujewa.

Odchodzimy sobie pomalutku,
W tę krainę, gdzie cisza i błogość.
Może czas już i mnie zbywszy smutku
Zbierać marny dobytek — i w drogę...
(przekł. A. Kamieńska).

DZIEŃ TRZECI

W. ERLICH:

Przyszli Ustinowie, Jelizawieta Aleksiejewna przyniosła samowar. Razem z Ustinowem przyszedł Uszakow i staruszek pisarz Izmajłow. Piliśmy herbatę. Jesienin znów recytował wiersze, między innymi „Czarnego człowieka". Mówił:

— Wynajmiemy pokój razem z Żorżem (Ustinowem — przyp. E. W.). Liza Ustinowa będzie gospodynią. Zacznę redagować dziennik. Będę pracował. Wiesz, leniuchować możemy dopóki święta, a potem — do pracy.

J. USTINOWA:

W ten dzień wypito nie za dużo wina i piwa. Pamiętam, że byłam przerażona postępkiem Jesienina: nagle zabronił portierowi kogokolwiek wpuszczać do siebie, nam zaś wyjaśnił, że jest to konieczne ze względu na to, żeby nikt z Moskwy nie mógł go śledzić.

W. ERLICH:

Rozmowy były na temat: mieszkanie, dziennik, śmierć. Od czasu do czasu Jesieninowi udawało się dostać trochę piwa, ale raczej rzadko i mało: święta, wszystko pozamykane. Pieniędzy też miał niewiele. A do soboty w ogóle nic nie zostało.

J. USTINOWA:

Pamiętam, jak włożywszy ręce w kieszenie Jesienin chodził po pokoju opuściwszy głowę, od czasu do czasu poprawiając włosy.

— Ach, ciociu, gdybyś wiedziała, jak żyłem przez te lata! Jak licho!

— A twoja twórczość?

— Nędzna twórczość!... Nikogo i nic mi nie trzeba, nie chcę! Szampan tylko rozwesela, ożywia. Wówczas wszystkich lubię... Siebie! Życie jest tanią sztuką, ale potrzebną.

W. ERLICH:

Wieczorem.

— Wiesz, że bezwładnieje mi ręka!

Wyciąga lewą rękę i usiluje poruszyć palcami.

— Widzisz? Ledwie, ledwie się ruszają. Byłem u lekarza. Mówi, że z pięć lat mi jeszcze posłuży ręka, może trochę więcej, ale wcześniej, czy później, stanie się bezwładna. Żyły, mówi, były przecięte, dlatego śmierć. Potrząsnął głową i ze smutkiem dodał:

— I już będzie po mojej białej rączce. A, zresztą do diabła z nią straciwszy głowę... Jak to ludzie mówią?

Przed snem znowu rozmowy.

— Gdybym był białogwardzistą, byłoby mi lżej... Gdybym był białogwardzistą, wszystko bym zrozumiał. Ale wówczas, co tam rozumować? Nie ma co! Podłość — rzecz prosta. A oto tu... Niczego nie rozumiem, co dzieje się na tym świecie. Nie jestem zdolny do rozumowania.

Wszystko przyjmę, cokolwiek przyjdzie,
Niech się zjawi — ból, ukojenie...
Pokój tobie, przebrzmiałe życie.
Pokój wam, nadchodzące cienie.

(przekł. W. Woroszylskiego).

DZIEŃ CZWARTY

J. USTINOWA:

27 spotkałam Jesienina na klatce schodowej bez kołnierza i bez krawata, z gąbką i mydłem w ręku. Podszedł do mnie zmieszany i mówi, że może eksplodować łazienka, że w piecyku jest tam dużo ognia, a wody w kotle nie ma. Powiedziałam, że gdy wszystko naprawią, to go zawołają.

W. ERLICH:

Puścili wodę. Dopóki grzała się woda, zaczęliśmy się golić... Jelizawieta Aleksiejewna tymczasem przygotowała śniadanie. Stoimy około biurka: Jesienin, Ustinowa i ja. Wycieram brzytwę. Jesienin myję pędzel. Zdaje się, że w pokoju też była pokojówka. On mówi:

— Aha! Ciociu Lizo, posłuchaj! To skandal! Żeby w pokoju nie było atramentu. Rozumiesz? Chcę napisać wiersz, a tu atramentu nie ma. Szukałem, szukałem i nie znalazłem. Popatrz, co zrobiłem!

Odwija rękaw i pokazuje rękę: przecięcie.

J. USTINOWA:

Sergiusz Aleksandrowicz podszedł do stołu, wyrwał z notesu napisany krwią wiersz i schował Erlichowi do wewnętrznej kieszeni marynarki. Erlich chciał wyjąć kartkę, ale Jesienin mu nie pozwolił.

— Później przeczytasz, teraz nie trzeba!

G. USTINOW:

Czy mógł myśleć, że zapomnę o kartce, na której jego krwią był napisany wiersz... Lecz o kartce w fatalny sposób zapomniano.

W. ERLICH:

W ślad za tym zaczęło się: wanna, samowar, piwo (dozorca przyniósł 5–6 butelek), gęsie wątróbki, ludzie. Na herbatę przyszedł Ustinow, przyprowadził Uszakowa. Jesienin był prawie wesoły. Opowiadał o piecu. Kłócił się z Ustinową, która zmuszała go do jedzenia.

J. USTINOWA:

Przy kolacji Jesienin gryzł tylko kości i przekonywał, że cały smak gęsi leży właśnie w kościach. Wszyscy się śmiali.

G. USTINOW:

Ten ostatni dzień Jesienina był dla mnie okropnie męczący. Sam na sam z nim trudno było wytrzymać, lecz nie można też było zostawić go samego, żeby się nie obraził.

J. USTINOWA.

Nie cały czas byłam u niego, wychodziłam, znowu przychodziłam. Wieczorem Jesienin zasnął na kanapie.

G. USTINOW:

Przyszedłem do niego po południu. Jesienin spał przy spuszczonych zasłonach. Zobaczywszy mnie zeskoczył z kanapy, usiadł mi na kolanach jak małe dziecko i długo tak siedział, obejmując mnie ręką za szyję. Narzekał na swe nieudane życie. Był zupełnie trzeźwy.

J. USTINOWA:

Tego dnia wszyscy byliśmy bardzo zmęczeni i wyszliśmy od niego wcześniej niż zwykle. Zapraszaliśmy go do siebie, obiecał przyjść i nie przyszedł.

G. USTINOW:

Żegnając się ze mną zapytał:

— Czy na pewno przyjdziesz do mnie?

— Na pewno.

— Przyjdź na pewno, tylko szybko! Powiedz tam, żeby ciebie wpuszczali do mnie rankami.

W. ERLICH:

O godzinie ósmej podniosłem się, żeby odejść. Pożegnaliśmy się. Z Niewskiego wróciłem z powrotem: zapomniałem teczki. Uszakowa już nie było.

Jesienin siedział przy biurku, spokojny, bez marynarki, w narzuconym na plecy futrze i przeglądał stare wiersze. Na stole leżała otwarta teczka. Pożegnaliśmy się powtórnie.

G. USTINOW:

Tego wieczoru nie udało mi się do niego przyjść. Około godziny 9 przyszedł do mnie pisarz S. Siemionow, z którym przesiedzieliśmy do 12. W pewnym momencie pomyśleliśmy, żeby pójść razem (do Jesienina — przyp. E. W.) — ale postanowiliśmy, że lepiej dać mu się wyspać. A Jesienin w tę noc zasnął tak, żeby już nigdy się nie obudzić.

Nad śnieżną równiną biały blask księżyca,
Całunem pokryta nasza okolica.
W lasach płacze brzoza, w bieli błyska łza.
Kto tu zginął? Umarł? A może to ja?

(przekł. B. Ostromęckiego).

DZIEŃ PIĄTY

J. USTINOWA:

28 poszłam zaprosić Jesienina na śniadanie, długo pukałam, nadszedł Erlich — pukaliśmy razem. Wreszcie poprosiłam kierownika, żeby otworzył pokój... Kierownik otworzył i odszedł. Weszłam do pokoju. Łóżko nietknięte. Ja do kanapy — nie ma nikogo, do amerykanki — nie ma. Podnoszę oczy i widzę go w pętli przy oknie. Szybko wyszłam.

W. ERLICH:

Na drugi dzień portier składając zeznania powiedział, że około godziny 10 Jesienin zszedł do niego z prośbą: „Nikogo do mojego pokoju nie wpuszczać".

G. USTINOW:

Gdy zobaczyłem wiszącego trupa, przeżyłem coś, co jest gorsze od przerażenia i rozpaczy. Trup się trzymał jedną ręką za rurę ogrzewczą. Jesienin nie zrobił pętli, on omotał sobie szyję sznurkiem jak szalikiem. Mógł w każdej chwili wyskoczyć. Dlaczego się trzymał ręką rury? Żeby nie upaść, czy żeby nie dać sobie możliwości umrzeć? Mówili, że sekcja zwłok wykazała, że śmierć nastąpiła natychmiast z powodu pęknięcia kręgosłupa. Może nie obliczył siły upadku, kiedy wybijał sobie spod nóg szafkę — i umarł przypadkowo, chcąc tylko poigrać ze śmiercią?

J. USTINOWA:

U martwego Jesienina znaleziono nadcięcie łokciowego ścięgna prawej ręki. Prawdopodobnie Jesienin — decydując się na samobójstwo — albo chciał umrzeć od utraty krwi podcinając sobie ścięgno, albo chciał odebrać sobie wszelką szansę powrotu do życia.

A. JESIENINA:

Tego ranka 28 grudnia nigdy nie zapomnę. Obudziliśmy się z Katią od wycia wiatru w kominie i przeraźliwego cerkiewnego dzwonu. Nie od razu zrozumiałyśmy, że to nagle rozszalała się w nocy straszna zamieć. Świtało. Ale za oknami naszego konstantinowskiego domku nie było nic widać! Ulica, Oka, pola i lasy — wszystko utonęło w północnym mroku rozszalałej, wyjącej burzy. Przeciągliwie jęczały telegraficzne słupy obok naszego tonącego w śniegu ojczystego domu. O zmierzchu, kiedy mama zapaliła lampkę naftową, która ponuro oświetliła pokój, w chacie stało się jakby trochę spokojniej. Razem z Katią znów wlazłyśmy na piec. Zamieć szalała całą noc i z gwizdem rzucała nam w szyby śniegowy pył, ale w domu było cicho i ciepło, lampa naftowa przytulnie oświetlała biały piec, obrazy w kącie, złociste deski ścian.

Wgramoliłyśmy się wieczorem na piec razem z Katią i zasnęłyśmy...

Jam wciąż ten sam.
Sercem jam wciąż ten sam.
Jak chabry w życie
Kwitną oczy w twarzy hożej
Ścieląc dziś słów złocące się rogoże,
Chciałbym powiedzieć coś tkliwego wam!
Dobranoc!
Wszystkim wam, dobranoc, mili!

(przekł. B. Jasieńskiego).

Po prostu przyjaźń

Włodzimierz Ster

GRANICĘ przekroczyliśmy w późnych godzinach popołudniowych. Droga po tamtej stronie nie była lepsza. Wąskie serpentyny wspinały się w górę, spadały w dół. Niskie Tatry Słowackie, gęsto porośnięte świerkiem i różnorodnym drzewostanem liściastym, zachęcały do wolnej jazdy i postojów. Czyściutkie wsie i miasteczka zadziwiały swoją urodą, budziły zazdrość i żal. Dlaczego nasza wieś jest gorsza, ciągle biedna i zaniedbana?

Nasza delegacja liczyła cztery osoby. Przewodnictwo dzierżył Marek Kwieciński z Zarządu Wojewódzkiego ZMW, członkami byli: bibliotekarka z opoczyńskiego, młody rolnik z powiatu radomskiego i ja, dziennikarz. Kontakty międzyorganizacyjne z Bańską Bystrzycą Zarząd Wojewódzki ZMW w Kielcach utrzymuje od kilku lat. Były w nich małe przerwy, były pewne dąsy, ale potrzeba kontaktów i zdrowy rozsądek zwyciężyły.

Do Bańskiej Bystrzycy przyjechaliśmy już w nocy. W stosunku do wcześniej uzgodnionego terminu byliśmy spóźnieni około dwunastu godzin. W najlepszym hotelu czekały jednak gościnne pokoje. Komfort na skalę europejską, obsługa bez zastrzeżeń, młoda i grzeczna. W pokoju kierownika delegacji przechowywano w lodówce obfitą kolację ze sporą ilością „pilznera". Zajadaliśmy z apetytem w towarzystwie sympatycznego Kazia przypisanego do naszej delegacji. Był przewodnikiem, tłumaczem i serdecznym kolegą.

Drugiego dnia czekała nas wielogodzinna nasiadówka. O dziewiątej rozpoczęła się Wojewódzka Konferencja Socjalistycznego Związku Młodzieży. Słuchaliśmy kilkugodzinnego sprawozdania I sekretarza SZM i przewodniczącego komisji rewizyjnej. Wielka sala, a na niej ponad czterystu delegatów. Spokój i dyscyplina. Pewnie, że można było spotkać tu i ówdzie przymrużone oko, ale gazet nikt nie czytał, kawałów też nie opowiadali. Dyskutanci czytali swoje przydługie wystąpienia i nie zawsze konkretne, ale tylko myśmy się denerwowali, inni słuchali, a nawet wznosili owacje.

W przerwie poznajemy członków radzieckiej delegacji z miasta Tuła i grupę Węgrów, którzy podobnie jak my przybyli, aby wziąć udział w konferencji, wymienić doświadczenia, nawiązać kontakty i przyjaźnie.

Wieczorem jesteśmy uczestnikami młodzieżowej zabawy. Wino, śpiew i tańce. Wesoło, zabawa ma charakter ludowy. Wspomnieniem biegnę do lat pięćdziesiątych. Wtedy młodzież podobnie bawiła się na zabawach organizowanych przez ZMP. Teraz najlepsze pary dają konkursowy pokaz tańca. I znów ogólne szaleństwo. Chcieliby jak najdłużej, ale noc majowa jest krótka. Już przez okna zagląda blady świt. Rano wyjazd do wiosek i miasteczek. Święto dobiega końca.

Bańska Bystrzyca liczy ponad pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Nie należy do dużych miast. Wszyscy jednak wiedzą o sejmiku młodych. Znaczenie społeczne organizacji młodzieżowej jest tu o wiele większe niż w Polsce. Prawie cała egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego partii uczestniczyła w obradach. Gmach Socjalistycznego Związku Młodzieży jest okazały i przestronny. Trzy razy więcej pracowników, lepsze wyposażenie. Każdy zarząd powiatowy ma własny środek lokomocji.

Tam, u nich — poważna koncentracja sił i środków, u nas — rozproszenie. Dostrzegam szczególną potrzebę wymiany doświadczeń, obserwacji i dogłębnej analizy odmiennych faktów i zjawisk w życiu organizacji młodzieżowych.

Słowacja to mały kraj, nie więcej niż trzy nasze województwa, ale ich zarządy organizacji młodzieżowej mają dużą samodzielność w działaniu. Utrzymują szerokie kontakty zagraniczne, odważnie otwierają okno na świat dla swojego aktywu. W naszych warunkach te możliwości są nieco skromniejsze.

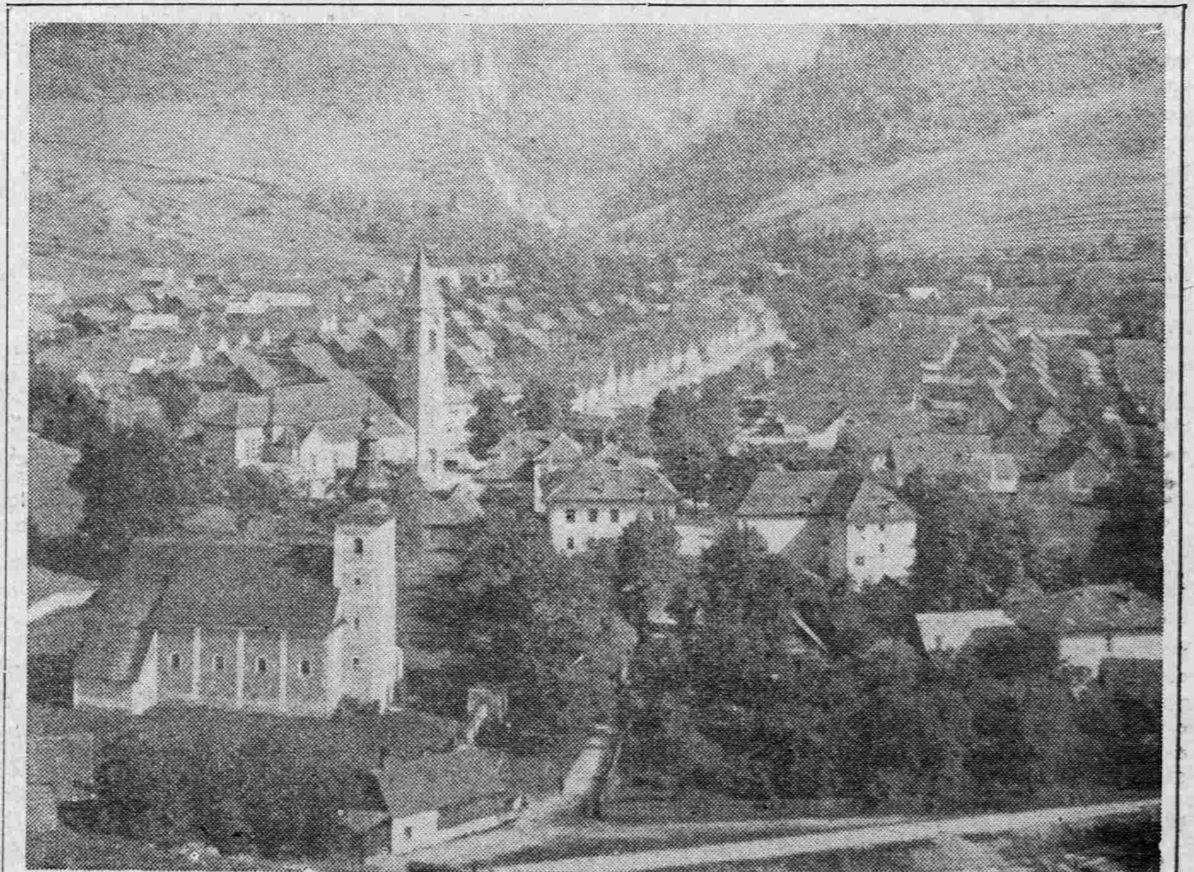
Na spotkaniu z egzekutywą Komitetu Wojewódzkiego partii I sekretarz dał nam do zrozumienia, że kontakty SZM i ZMW należałoby rozszerzyć na pozostałe organizacje, a także mile by widziano kontakty międzypartyjne. Podarek, który przywiozła nasza delegacja dla Komitetu Wojewódzkiego w Kielcach, symbolizuje potrzebę wymiany.

Podobne życzenia wyraził szef organizacji młodzieżowej. Widzi on możliwość współdziałania z młodzieżą robotniczą skupioną w ZMS, a także z harcerstwem. Bańska Bystrzyca ma najsilniejszą w Słowacji organizację pionierską. Iwan Dzurianik przybędzie jesienią do Kielc, aby w tych sprawach przeprowadzić wiążące rozmowy.

Dzieli nas tylko granica Tatr, łączą pokrewieństwa językowe i kulturalne, więzy historyczne. Wieś słowacka jest w 75 proc. uspołeczniona. Mamy czego uczyć się od nich, oni też mogą skorzystać z naszych doświadczeń. Organizacja młodzieżowa w Słowacji zwraca baczną uwagę na zagospodarowanie wolnego czasu młodzieży. Uważają to za zadanie ważne i pilne. Zajęcia kulturalne, sportowe i turystyczne zajmują najwięcej miejsca w planach i programach związku. Takie uprofilowanie organizacji także powinno budzić refleksję u naszego aktywu, który większość wysiłku organizacyjnego i programowego jak dotąd skupia na mobilizacji zawodowej.

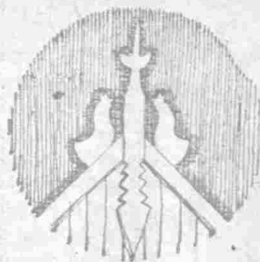
Wychowanie przez pracę nie może przysłaniać wychowania przez zabawę i rozrywkę. Chuligaństwo, przestępczość, demoralizacja rzadko rodzą się w zakładzie produkcyjnym, powstają przeważnie na ulicy, w knajpie, w czasie wolnym od zajęć zawodowych, produkcyjnych. Zapełnienia tego czasu interesującą rozrywką nie należy nazywać odstępstwem od generaliów, albowiem dla organizacji politycznej o charakterze wychowawczym najważniejsze jest uzyskanie wpływu na postawę ludzi młodych. Wszystkie metody, które pozwalają realizować główny cel, są słuszne i uzasadnione.

Pięć dni to za mało, aby poznać pracę innych, ale wystarczająco, aby zdobyć pewną orientację w problematyce młodzieżowej. Koleżeńskie rozmowy, serdeczne przyjaźnie zbliżają ludzi, uczą ich szacunku do siebie, dają wiarę i przekonanie, że świat ludzki wszędzie żyje tymi samymi radościami i troskami. Ludzie chcą sobie pomagać — niezależnie od barier granicznych i językowych.



fot. archiwum

opowiadanie



Pora odejścia

Henryk Kawiorski

– W tej chałupie się urodziłam – powiedziała Małgorzata do Zabiełły, opasłego majstra w kombinezonie pochlapanym wapnem i farbami. W ostatnich miesiącach widywała go często i wiedziała, że jego obecność nie wróży nic dobrego. Patrzył na dom tym okiem, co na złego psa i szachrował w umyśle, jakby tu zacząć, żeby rozbiórkę skończyć jak najprędzej.

– Co mnie obchodzi twoje tłumaczenie – odparł. – Mam przykaz i spokój. Pojutrze przygonię chłopaków i jak będzie pogoda, weźmiemy się do dzieła. Zamiast biadać, lepiej spakuj, co masz do spakowania i z pocałowaniem ręki przenoś się ze swoim chłopem do bloków. I ciesz się, że zamieszkasz nareszcie jak człowiek, że dostałaś to, na co inni czekają przez lata.

Małgorzata znała majstra na tyle, żeby się z nim nie spierać. Protesty i kłótnie nie zdałyby się w tym wypadku na nic. Nogi już uchodziła po kolana po biurach, z prośbami i błaganiem, żeby nie zabierać jej chałupy, przytulonej do miasta niczym sierota do nogi łaskawego opiekuna, ale urzędnicy nie chcieli nawet słuchać. Miasto się rozrastało i osada musiała zniknąć.

– Nade mnie nie było w tej wsi ładniejszej dziewczyny – powiedziała do majstra.

Oczy mu złagodniały, nabrały cieplejszego połysku, kiedy ją otaksował jak centymetrem od stóp do głów. Pomyślał w tym momencie o sobie. Na karku siadł mu siódmy krzyżyk, kobieta podchodziła pod czterdziestkę, od starości dzieliło ich coraz mniej, a przecież nic tak nie jednoczy, jak wspólne wydeptywanie ostatnich ścieżek.

Małgorzata wciąż była ładna, choć w czarnych włosach wiły się srebrne wężyki siwych włosów, chociaż od nosa spływały w dół dwie głęboko wykrojone bruzdy i plecy przygarbiły się od dźwigania ciężarów. Niełatwe życie nie dało jej rady, nie zmogło jej. Mimo rozgoryczenia była w niej cicha radość. A stary wróbel, majster Zabiełło, umiał to poznać i docenić.

– Powinnaś się cieszyć – rzekł i odchrząknął, bo coś go zadrapało w gardle.

Swierzbił ją język, ale wstydziła się opowiedzieć mu o sobie, o marzeniach, nadziei i rozczarowaniach.

– No, gadaj śmiało – zachęcał ją do wynurzeń.

– Mówili o mnie, że byłam najładniejszą dziewczyną we wsi... Nie, nie mogę dalej!... – urwała.

– Lżej ci będzie na sercu, a urody niejedna młodsza mogłaby ci pozazdrościć.

– Urodziłam się, kiedy nikomu o tym waszym mieście jeszcze się nie śniło – powiedziała. – Szkoda mi tej chałupy, bo tak mi się zdaje, jakby mnie odzierano ze wspomnień o młodości. Panie majster, nie ma żadnej rady, żadnego sposobu, żeby zostawić?

– Jak sobie to wyobrażasz – roześmiał się. – Na tym placu – wskazał przestrzeń między płotem, domem i sadem jabłoniowym – za rok stanie czteropiętrowa kamienica. A ty się nie przejmuj. Z początku zawsze trochę boli, kiedy się traci to, co przyrosło do ciała i serca, ale z tego powodu nie warto nawet jednej łzy uronić. Życie trzeba brać jak leci, a czas zagoi ból po rozstaniu.

Małgorzata na tyle okrzepła i oswoiła się z utratą domu, że kolejna odmowa i niezbyt udana próba pokrzepienia nie pogłębiły w niej smutku i beznadziei. Ostatecznie nie traciła dachu nad głową. Oglądała nowe mieszkanie. Składało się z dwóch pokoi, kuchni, łazienki. Mąż przekonywał ją, że wygrali los na loterii. Zgadzała się z jego racjami, ale poza wszystkim dla Małgorzaty istniał niedostrzegalny dla innych świat ułud, po którym poruszała się z taką swobodą, jak po drogach osady, która na jej żywych oczach, wchłaniana przez wszechpotężne miasto, zaprzepaszczała się w nicości.

Wsunęła dłonie pod kwiecisty fartuch, którym się przepasała w biodrach i z uśmiechem pobłażania i wyrozumienia patrzyła na szerokie plecy oddalającego się majstra Zabiełły.

W mieście miała stać się anonimową postacią, podczas gdy we wsi znała każdego z osobna i wszyscy ją znali i przechowywali wciąż, po upływie dwudziestu lat, pamięć o tym, że choć było wiele panien na wydaniu, Małgorzata była wśród nich najładniejsza.

W jabłoniowym sadzie, w sierpniowy, wygwieżdżony wieczór jej obecny mąż otworzył ją na przyjęcie światła, a w drewnianej chałupie, którą odziedziczyła po zmarłych rodzicach, dwa razy otworzyła się z krzykiem, z własnego przymusu, który odtąd traktowała jako święte posłannictwo, aby przysporzyć światu dwie istoty, uformowane ze swojego ciała i swojej krwi.

Majster Zabiełło przyjdzie jutro z robotnikami, podsunie jej pod oczy dokument, a do martwiejących z przerażenia palców wciśnie kopiowy ołówek, żeby podpisała ostateczną zgodę na rozbiórkę, wycięcie drzew w jabłoniowym sadzie i zaoranie podwórza, po którym dalej stukały drewniaki jej matki i matki jej matki, sandały Małgorzaty, kupione na jarmarku i wreszcie bose stopy półnagich dzieciaków w upalny dzień.

Oparła się piersiami o furtkę. Było pogodne przedpołudnie i od podnóża drzew i zabudowań snuły się wydłużone cienie. Przygarbione, rosochate wierzby, w których za dnia kryły się południce i strzygi z wytrzeszczonymi ślepiami, pilnowały stromego brzegu nad szeroką, spokojną rzeką. Przy zakurzonej, porzeźbionej kołami furmanek drodze stało kilkanaście chałup. Droga na prawo, przy skrzyżowaniu, przeobrażało się jak nożem uciął w asfaltową jezdnię, a w lewo schodziła zakosami po zboczu aż do promu, który wahadłowym ruchem przemierzał w poprzek głębinę. Drzewa i kamienice w obrębie miasta zaśniedziały od kurzu i pyłu.

W jej małżeństwie nie zabrakło burz i niepokojów, ale były to jedynie przelotne chmury na rozsłonecznionym niebie, pojawiające się nagle i rychło bez śladu zanikające. Ona i mąż trwali na takiej pozycji, z której żadna przeciwność losu nie była ich w stanie zepchnąć.

Kilka razy zbierała się, żeby oderwać się od furtki i odejść do domowych zajęć. Czekało na nią sprzątanie, prasowanie, gotowanie. Ale brakło jej odwagi. Nie darowałaby sobie, gdyby zmarnotrawiła porę odejścia.

Szła wzdłuż płotu i muskając palcami czubki ostro zakończonych sztachet przebiegała w myślach przebyte lata. Dotarła do granicy sadu, który nie proszony, wpierał się na podwórze. Urodzaj na jabłka był tego roku przewspaniały. Gałęzie już uginały się pod ciężarem, mimo że nie był to jeszcze czas dojrzewania. Była tu także ta jabłoń, pod którą przeistoczyła się w ramionach kochanego mężczyzny. Pogładziła czule chropowaty, pobielany pień. Nachyliła gałąź i zerwała jabłko. Miało kwaśny smak i było dobre.

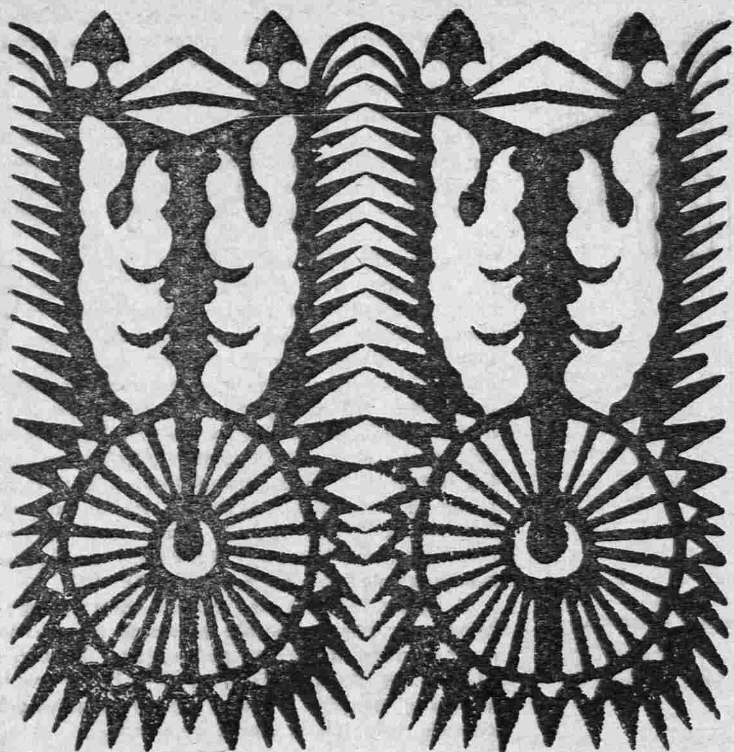
Męża oczekiwała ze zwykłym utęsknieniem, które potęgowało się w tych godzinach, gdy wracał z fabryki. Przyszedł nieco później niż zwykle, ale tego nie zauważyła. Był zmęczony, spocony i brudny. Myjąc się przy studni, rozebrany do spodenek kąpielowych, opowiadał urywanymi zdaniami, że montowali zbiornik na płynny gaz. Pomogła mu wyszorować plecy i podała włochaty ręcznik.

Przed wieczorem namówiła go, żeby poszli do nowego mieszkania. Zatrzymała się jednak przed kamienicą i po krótkim wahaniu odwróciła się energicznie i zaczęła szybko odchodzić. Dopędził ją w pobliżu skrzyżowania. Objął ją w pasie. Przytuliła się ufnie.

Ta chałupa zginie, ale ja przetrwam i to wszystko, co ze mną – myślała. Podpiszę ten dokument Zabielle, niech się dzieje, co się ma dziać. Przeniosę się, ale będzie to tylko pozór, wybieg, kłamstwo! Tak naprawdę to aż po kres moich dni pozostanę w starej drewnianej chałupie, do której przez nieduże okno zagląda jabłoniowy sad.



fot. archiwum



lekarz i etyka

Problemu część druga

Barbara Szeffer

Duże zainteresowanie społeczności lekarskiej wzbudził artykuł Jacka Głażewskiego, opublikowany w kwietniowym numerze „Przemian". Z uznaniem należy powitać inicjatywę pisma, które udzieliło swych łamów dla publicystyki medycznej. Nie jest to częste zjawisko i poza resortowym tygodnikiem „Służba Zdrowia" — zasadniczo tylko sporadycznie drukowane są tu i ówdzie wypowiedzi lekarzy. Natomiast o pracy lekarzy (zwłaszcza, gdy budzi zastrzeżenia) oraz o sensacjach medycznych w najszerszym zrozumieniu, pisze się wiele, nieraz zbyt wiele, nie zdając sobie nawet sprawy ze szkodliwości takiego działania. Brak wyobraźni dziennikarskiej jest bowiem tak samo groźny, jak niezdolność przewidywania i rokowania lekarskiego — tego nie trzeba uzasadniać.

Nie da się zaprzeczyć, że „judymowanie" jest wzniosłe i piękne, ale jakże trudne do egzekwowania na co dzień. Dlaczego tych, którzy powołani są do roztaczania opieki nad ludzkim dobrem największym — zdrowiem, wynagradza się najgorzej spośród wszystkich grup pracowników z wyższym wykształceniem? Czyżby z góry już zakładano większą wytrzymałość fizyczną „ludzi w bieli", którzy za tę samą płacę, co na przykład technicy, muszą pracować dwa razy ciężej i dłużej, ponosząc równocześnie ogromną odpowiedzialność? A kto usankcjonował taki przepis, w myśl którego na każde dodatkowe zatrudnienie zwyżka podatkowa dla lekarzy wynosi pięćdziesiąt i sto procent? Pracownicy innych resortów nie chcą w to wierzyć, bowiem oni za godziny nadliczbowe oraz pracę w dni świąteczne otrzymują wynagrodzenie wyższe, nie obciążone aż takimi „karami" podatkowymi.

Ponieważ jednak istnieje przekonanie o powołaniu do zawodu lekarskiego, przeto całe mnóstwo „Judymów" pracuje od rana do wieczora, a nocami jeszcze usypia nad fachową literaturą, jako że trzeba śledzić nowości naukowe oraz zawodowe, no i zrobić wreszcie tę specjalizację, bez której dziś ani rusz...

Jedna z uczestniczek warszawskiej konferencji o etyce lekarskiej buntowała się przeciwko temu właśnie archaicznemu pojęciu „powołania" do zawodu, uzasadniając, że lubi swój zawód, świadomie wybrała ten właśnie kierunek studiów, chętnie niesie pomoc chorym, stara się być sumienna w swej pracy i to chyba jest właściwe podejście do zagadnienia. Poza tym jednak trudno odmówić lekarzowi prawa do jakiegoś własnego życia, zainteresowań pozazawodowych i pewnej części dnia do dyspozycji, tj. czasu, który mógłby wykorzystać według swego uznania, zwłaszcza że wymaga się przecież od ludzi z wyższym wykształceniem także pewnej wszechstronności. Monumentalne pojęcie POWOŁANIA jest argumentem, który ma pobudzać do poświęceń i wysiłku zawodowego ponad miarę i ponad siły również bez proporcjonalnego ekwiwalentu materialnego.

Najdłuższe i cięższe od innych studia przygotować mają do pracy najbardziej odpowiedzialnej, a mimo to opłacanej według najniższych stawek. Dlaczego? No, bo medycy są nieproduktywni: nie biorą udziału w procesie wytwarzania dóbr materialnych, nie mogą więc być w żaden sposób premiowani; do nich dopłaca się jeszcze z funduszu społecznego, co niejednokrotnie zdenerwowany długim czekaniem w przychodni pacjent — potrafi wykrzyczeć. I ma po swojemu rację. Metody, jakimi deprecjonowało się od lat rangę zawodu lekarskiego, były i są różnorodne, ale jednolicie i konsekwentnie współdziałały w wytworzeniu zaistniałej obecnie sytuacji, to znaczy lekceważenia tego, co jest zbyt tanie. Zbyt tani — to w pojęciu większości ludzi tandetny, zły.

Oczywiście, bywają i źli lekarze, zresztą publicznie piętnowani. Truizmem będzie stwierdzenie, że tylko tych złych, lub popełniających błędy (często niezawinione) — znamy z publikacji prasowych. Podstawą do takiego postępowania jest pogląd, że jeśli ktoś pracuje „z powołania", to powinien pracować dobrze i dopiero, gdy wytworzy się sytuacja szczególna, gdy ktoś niewłaściwie zinterpretuje tę niewzruszalną prawdę, warto i trzeba na niego zwrócić uwagę ogółu.

Nie znaczy to, że wszelkie fakty zaniedbań lekarskich czy indolencji w działaniu, zamiast fachowej pomocy — mają być tajone lub tym bardziej, by miały uchodzić bezkarnie. Istnieją przecież sądy koleżeńskie, komisje kontroli zawodowej oraz rzecznicy dobra służby zdrowia, których powołuje się po to, aby czuwali nad właściwym postępowaniem ludzi zatrudnionych w aparacie medycznym, a w razie potrzeby — wkraczali czynnie.

Rzecznik dobra służby zdrowia jest odpowiednikiem prokuratora, a okręgowe komisje kontroli zawodowej stanowią instancje w założeniu niezawisłe, działające przy wojewódzkich wydziałach zdrowia i orzekające w sprawach dotyczących lekarzy. Sprawy te niejednokrotnie trafiają równocześnie i do sądu. Jeśli waga zagadnienia nie jest tak znaczna, zdarza się przekazywanie niektórych spraw spornych do sądów koleżeńskich, istniejących w sekcjach lekarskich przy okręgach związkowych. Słabym punktem w działaniu OKKZ jest to, że sprawy tam rozpatrywane, nawet te nagłe, nie cierpiące zwłoki i o znacznym ciężarze gatunkowym, ciągną się zwykle przez wiele miesięcy. Tak znaczne opóźnianie decyzji czy orzeczenia, które w końcu i tak musi być uzgadniane z władzami administracyjnymi, dowodzi ograniczenia autonomii OKKZ. Szerokich uprawnień, jakimi szczyciły się dawne izby lekarskie, łącznie z możliwością odbierania dyplomów lub pozbawiania prawa praktyki na pewnym terenie — OKKZ nie posiadają, a szkoda.

Wydaje się, że nadszedł właśnie odpowiedni moment, aby pomyśleć o możliwości utworzenia jakiegoś powszechnego związku lekarzy i własnego ich samorządu, który mógłby decydować w kwestiach węzłowych, dotyczących służby zdrowia. W ręce społeczności lekarskiej powinny przejść szersze uprawnienia, pozwalające na szerszy wgląd w ich własne sprawy, nie tylko sporne czy karne, ale także i te, gdzie trzeba decydować o obsadzaniu kierowniczych stanowisk zawodowych. Rola administracji mogłaby wówczas ograniczyć się istotnie do sprawowania rządów administracyjnych w pełnym zrozumieniu tego pojęcia.

Niestety, znakomita większość lekarzy zdaje sobie sprawę, że życzenia te i starania zasadniczo nie mają szans realizacji, bowiem przez szereg lat istniejący, zresztą niedoskonały, model naszej służby zdrowia zbyt się utrwalił, aby można było go zmienić. I ci lekarze rezygnują, usuwają się na bok, nie chcą zabierać głosu, który byłby w efekcie głosem wołającego na puszczy.

W żadnej chyba innej dziedzinie nie jest tak niezbędna (czasem nawet natychmiastowa) pomoc prawnika, znającego kodeks zawodowy — jak właśnie w medycynie. Każdy jednak, kto próbował zasięgnąć porady radcy prawnego, działającego przy O-kręgu Zw. Zaw. Pracowników Służby Zdrowia wie, jak niesłychanie trudno jest to zrealizować. Ograniczone godziny przyjęć do jednego, a najwyżej dwóch dni w tygodniu, poczekalnia przepełniona oczekującymi interesantami (nielekarzami), niejednokrotnie konieczność zapisywania się na wizytę wiele dni wcześniej itp. powodują nieraz, że lekarz rezygnuje i zostaje sam ze swoim problemem. A przecież kwestia czasu w wyborze właściwego postępowania bywa często czynnikiem decydującym o całej dalszej karierze zawodowej lekarza, zagubionego w labiryncie przepisów, zarządzeń, ustaw, nakazów sumienia i formalnych zakazów administracyjnych. Dlatego wydaje się celowe i konieczne, przynajmniej w każdym mieście wojewódzkim, umożliwienie lekarzom zasięgnięcia choćby telefonicznie „na cito", o każdej porze dnia, a nawet nocy — porady prawnika, zorientowanego w problematyce medycznej. Z pewnością pociągnie to za sobą konieczność zaplanowania pewnych dotacji, co jednak w ostatecznym rachunku opłaci się wszystkim.

Kiedyś, przed laty, zlikwidowano „elitaryzm" lekarski pod postacią jednostek samorządowych, jakimi były izby lekarskie, a przecież izby adwokackie istnieją dotychczas i nikt nie uważa, że są zbędne. Wydaje się, że tam, gdzie godność zawodu upada, należy ją ratować każdym dostępnym sposobem i umieć zrezygnować bez fałszywego wstydu z obranej drogi, jeśli okazała się błędna.

noty, fakty ciekawostki rozrywka

NA OKŁADCE:

Fotografie barwne na stronach — pierwszej, ostatniej, szesnastej i siedemnastej wykonali fotoreporterzy Centralnej Agencji Fotograficznej. Tytuły w numerze przyozdobił H. Papierniak rysunkami zabytkowych zwieńczeń dachów. Na stronach 29, 30 i 31 reprodukcje rysunków twórcy ludowego, Kazimierza Uchty z Sędziszowa.

W jednym zdaniu

● W Radomiu i Kozienicach przebywał 26. VI. członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR, tow. **Jan Szydlak**, który w towarzystwie gospodarzy województwa zapoznał się z problemami Radomia, Pionek oraz zwiedził budowę Elektrowni „Kozienice"; na tejże budowie gościł 10 lipca przewodniczący Rady Państwa, prof. **Henryk Jabłoński**, który spotkał się m.in. ze studentami odbywającymi w Swierżach praktyki wakacyjne.

● Przed lipcowym świętem uruchomiono w Radomiu największą w kraju garbarnię skór miękkich; w uroczystości rozpoczęcia produkcji uczestniczył premier **Piotr Jaroszewicz**.

● Plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR ocenilo projekt założeń społeczno - gospodarczego rozwoju województwa do roku 1975 oraz omówiło zadania wojewódzkiej organizacji partyjnej w usprawnianiu procesów inwestycyjnych oraz budownictwa w najbliższych latach; założenia planu rozwoju gospodarczego województwa do roku 1975 omówiła także sesja WRN, ustalając główne wskaźniki planu we wszystkich dziedzinach gospodarki.

● Plenum WK ZSL zwolniło ze stanowiska, w związku z przejściem do innej pracy, prezesa Wojewódzkiego Komitetu posła Andrzeja Szubara, zasłużonego działacza ruchu ludowego, powierzając tę funkcję inż. Mieczysławowi Derejskiemu; stanowiska wiceprezesów objęli — Jan Mazur i Roman Maćkowski, ten ostatni wybrany został także wiceprzewodniczącym Prez. WRN, którą to funkcję pełnił przez wiele lat obecny prezes WK ZSL — M. Derejski.

● W Nowej Słupi zapłonęły tradycyjne „Dymarki Świętokrzyskie", które w tym roku po raz pierwszy płonąć będą przez ponad 2 miesiące, a więc przez cały okres nasilonego ruchu turystycznego, co umożliwi wycieczkom z całego kraju, a także z zagranicy poznanie unikalnych metod wytopu żelaza metodą sprzed czterech tysięcy lat.

● Opublikowano, poddając pod społeczną dyskusję, statut Fundacji im. Stanisława Staszica, utworzonej z inicjatywy władz wojewódzkich i kieleckich gazet; fundacja służyć będzie popieraniu prac badawczo-naukowych, nowatorskich rozwiązań technicznych, rozwoju nauki, kultury i sztuki w Kielecczyźnie.

● Kieleckie wyższe uczelnie opuściła kolejna grupa absolwentów: inżynierów różnych specjalności, ekonomistów i pedagogów; równocześnie przeprowadzono rekrutację na nowy rok akademicki.

● Czterech naszych kolegów, dziennikarzy, zostało laureatami dorocznych ogólnopolskich nagród: dziennikarze depeszowi „Słowa Ludu" — **Jerzy Kozera** i **Stefan Szwej** uzyskali II nagrodę ogólnopolską, **Stanisław Gleń** I nagrodę im. H. Sawickiej za publicystykę młodzieżową oraz **Stanisław Mijas** (nasz stały współpracownik) I nagrodę za publicystykę kulturalno-wychowawczą.

● 21 miast Kielecczyzny uczestniczyło w konkursie „Mistrz gospodarności", a przebieg konkursu oceniła wojewódzka narada przewodniczących prezydiów rad narodowych zorganizowana pod auspicjami WK FJN; wśród miast ubiegających się o ten zaszczytny tytuł w grupie miast większych najlepsze wyniki osiągnęły: **Pińczów, Jędrzejów** i **Kazimierza Wielka**, zaś mniejszych ośrodków miejskich: **Działoszyce** i **Skaryszew**.

● Jak co roku, łódzka Akademia Medyczna organizuje na terenie Kielecczyzny obozy dla studentów; jest to inicjatywa wielce pożyteczna, gdyż obok wypoczynku przyszli lekarze udzielają pomocy lekarskiej, przeprowadzają badania profilaktyczne wśród mieszkańców wsi.

● Środowiska twórcze Kielc poniosły bolesne straty — zmarli: inż. arch. **Tadeusz Steiner**, twórca wielu reprezentacyjnych budynków Kielc (m.in. gmachu Prez. WRN), poetka i pisarka, członek Związku Literatów Polskich — **Ewa Dąbrowska-Orzelska**, której wiersze i opowiadania publikowaliśmy często na naszych łamach, oraz jeden z najbardziej cenionych aktorów Teatru im. S. Żeromskiego — **Stanisław Moskalewicz**.

Białej głowie dość dwie słowie

Przezorni antenaci przekazali nam w spadku potężną dozę mądrości czerpanej z doświadczenia a wyrażonej w przysłowiach. Znany ich miłośnik i zbieracz, prof. Julian Krzyżanowski wespół z doborową kadrą filologów zebrał i uporządkował ten przebogaty materiał w „Księdze przysłów polskich", której dwa pierwsze tomy są prawdziwym księgarskim rarytasem.

„Białogłowa" to tylko jeden z wariantów tematu poświęconego kobiecie. Z rozległego wachlarza przykładów, jakie grupuje to hasło, można wysnuć oczywisty wniosek, że psychika sarmatki stanowiła obiekt studiów częstych i dociekliwych. „Żeś białogłowę z kości stworzył, Panie, niejednemu też kością w gardle stanie" — stwierdza sarkastyczny dwuwiersz, a wtórują mu inne: „Co ci powie białogłowa, pisz na bystrej wodzie słowa"; „Białej głowie dość dwie słowie, będzie plotka co się zowie"; „Po lat pięćdziesiąt każda białogłowa niechaj zwierciadło stłucze albo schowa"; „Zawistna rzecz białogłowa cudzej chwały mierzią słowa". *Gdzie indziej odzywają się przestrogi dowodzące absolutnej władzy i nadrzędności mężczyzny:* „Kto ma rozum zdrowy, nie słucha białogłowy", „Prędko się popsuje białogłowa w swobodzie, kiedy stróża nie ma"; „Czym więcyj białka patrzy w zwierciadło, tym mniej zagląda do kuchni".

Długi jest akt oskarżenia, jaki przeciw kobiecym przywarom wystosowali prapradziadowie, ale zdobądźmy się na bezstronność i przyznajmy, że chociaż zmieniają się czasy i realia, to jednak ludzie pozostają podobni.

(lub)

Oferty sprzed stu lat

„Jest do sprzedania cały aparat gorzelniany, ze wszystkimi przyborami, nowy — jeden rok używany..." Sto lat bez mała liczy sobie ogłoszenie, tak szokujące dzisiaj, kiedy prasa nie szczędzi trudu, by piętnować bimbrowniczy proceder, a prawo ściga jego amatorów. Znaleźliśmy tę ofertę pośród innych, nie mniej interesujących, anonsów w roczniku 1874 „Gazety Kieleckiej", na której łamach zajmowały one poczesną pozycję obok poważnych artykułów (A. G. Bem) i literatury w odcinkach. Podobnie jak teraz, ogłaszać mógł się każdy, kto miał coś do sprzedania, komu zaginął pudel lub ważny dokument, kto poszukiwał pracy. Zupełnie jednak różne od współczesnych były to ogłoszenia: *„Poszukuje miejsca bona francuska", „Niemka poszukująca obowiązku przy dzieciach zna się także na gospodarstwie, praniu, a w razie potrzeby może nawet kucharza lub kucharkę zastąpić", „Kandydat nauk filologicznych pragnie dawać lekcyje w mieście Kielcach z przedmiotów odpowiednich jego specjalności" itp.*

Duże osiągnięcie naszych czasów stanowi fakt, że obecnie za pośrednictwem gazet najczęściej poszukiwany jest pracownik, nie zaś pracodawca, a choć procesy demokratyzacyjne mocno zachwiały przekonaniem o zaszczytności pełnienia obowiązku przy dzieciach, to o bony dziś trudno, to zdarza się jeszcze, że jakiś kandydat-filolog zdobędzie się na podtrzymanie korepetytorskiej tradycji.

Cudeńka oferował handel: każda dostawa była wydarzeniem, o którym należało bezzwłocznie uwiadomić klientów, a osobliwie klientki. Ze szczególnym upodobaniem ówcześni spece od reklamy wodzili na pokuszenie kobiecą łapczywość na nowinki konfekcyjne i kosmetyczne. Pomagała im w tym i zręczna stylistyka, i sprawdzone już wówczas działanie słowa „import".

(la)



Kielce — Słupia — Czarnolas

Nieczęsto zdarza się w kalendarzu kulturalnym Kielecczyzny dzień, który przynosi aż trzy jednakowo atrakcyjne propozycje imprezowe. W niedzielę, 25 czerwca, konsumenta kultury postawiono przed trudnym wyborem: uroczyste obchody V Centralnego Święta Młodości w kieleckim amfiteatrze, otwarcie tegorocznych „Dymarek" i Dni Twórczości Jana Kochanowskiego w Czarnolesie.

Najokazalej wypadło — ze względu na centralny charakter i rozmach — Święto Młodości ZMW. Była to okazja do obejrzenia rewii zespołów ludowych i folkloru ze wszystkich stron kraju. Imprezę tę można uznać za przykład umiejętnego łączenia tradycji ludowej ze współczesnością młodej polskiej wsi.

Mniej licznie niż w ubiegłych latach, ze względu na kapryśną aurę, stawili się w Nowej Słupi entuzjaści „Dymarek". Mimo to ich otwarcie przebiegało wg ustalonego programu, a usankcjonowała je obecność T. Rudolfa, A. Zarajczyka oraz osobistości świata nauki. „Dymarki 72" zakończą się dopiero we wrześniu.

Do spokojnej i zacisznej codzienności Czarnolasu duże urozmaicenie wniosły Dni Twórczości Jana Kochanowskiego zakończone finałową niedzielą 25.VI. Były kapele, zespoły regionalne, twórcy ludowi. W mistrzowskiej recytacji Wojciecha Siemiona znakomicie wypadły strofy poezji czarnoleskiej i wiersze poświęcone pamięci Jana z Renesansu.

(e)

Nowy herb Szczekocin

SZCZEKOCINY mają już nową, ale najstarszą z dotąd używanych, oznakę dziedziczną, symbol tradycji dawnej przeszłości. Jej początki sięgają wieku XIII. Dzisiejsze Szczekociny były wówczas osadą.

Kazimierzowi Wielkiemu zawdzięczają prawa miejskie, z którymi otrzymały tzw. prawo miecza — jurysdykcję obejmującą karę śmierci. Nowo lokowane miasto mogło wystawiać dokumenty opatrzone własną pieczęcią. Z wyobrażenia napieczętnego powstał więc w owych czasach herb — miecz pionowo stojący w błękitnej tarczy, którego miasto zaniechało w XVIII w. Było wówczas własnością Dembińskich. Na pewno przyczyniili się do rozwoju gospodarczego i kulturalnego miasta; zbudowali okazałą rezydencję magnacką, miasto zaś w hołdzie wdzięczności przyjęło jako swój — rodowy herb Rawicz — „...panna rozczesana w koronie, ręce rozszerzone mając, na niedźwiedziu czarnem siedzi". W krótkich dziejach Księstwa Warszawskiego godłem miasta — tak jak i pozostałych na tym terytorium — był herb państwowy, w czasach Królestwa Kongresowego miastom nakazano legitymować się herbem „bardziej rosyjskim niż polskim". Lata międzywojenne nie przyniosły w tym względzie zasadniczej poprawy. W roku 1936 miasto Szczekociny wysłało — na ówczesne wezwanie rządowe — do zaopiniowania i zatwierdzenia herb Rawicz, błędny historycznie i w dodatku z późną metryką.



Dzisiaj, po latach przywrócono miastu herb ukształtowany w oparciu o najstarszy, zachowany w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie, odcisk pieczęci. Oderwano go od nieznanego dokumentu miejskiego Szczekocin — podobnie uczyniono z paroma tysiącami dokumentów innych miast — na początku naszego stulecia, w dawnym Archiwum Skarbowym w Warszawie. Nabyty przez inż. W. Wittyga od carskiego „archiwisty" zbiór odcisków pieczęci przetrwał szczęśliwie czasy okupacji hitlerowskiej.

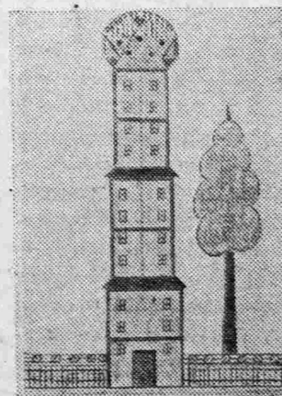
Słuszną inicjatywę władz i działaczy miejscowych o zmianie herbu Szczekocin poparł kwerendą archiwalną i biblioteczną mgr Tadeusz Maszczyński, pracownik Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach.

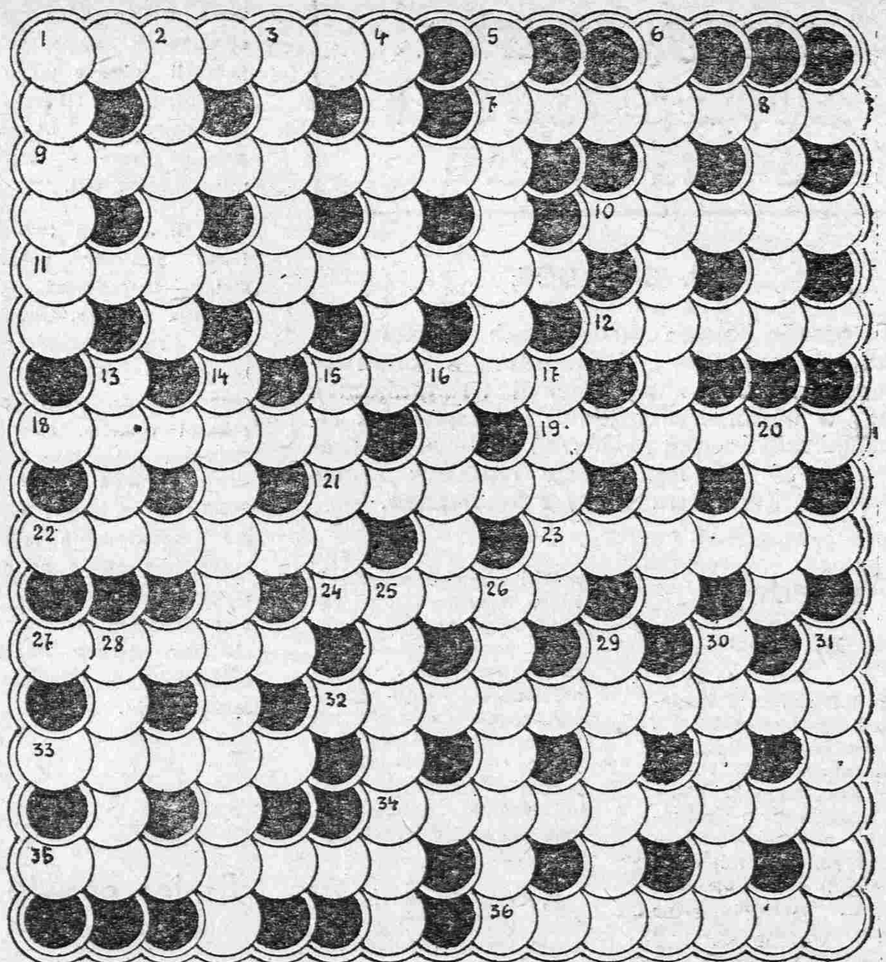
Biblioteka poetów

Jest to seria prezentująca wiersze najwybitniejszych poetów polskich i obcych — klasycznych i współczesnych. Wydaje ją Klub Poetycki Związku Młodzieży Wiejskiej, Redakcji „Nowej Wsi" i Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, a rozprowadza Powszechna Księgarnia Wysyłkowa wyłącznie drogą prenumeraty, której koszt wynosi 120 zł rocznie. Prenumeratę przyjmuje (kompletami półrocznymi lub rocznymi) wspomniana już Powszechna Księgarnia Wysyłkowa, Warszawa, ul. Nowolipie 4. Konto PKO — Warszawa, nr 153-6-900021.

W roku bieżącym ukażą się wiersze: George'a G. Byrona, Mariana Kubickiego, Antoniego Słonimskiego, Tarasa Szewczenki, Franciszka Villona, Jerzego Zagórskiego, Pejo Jaworowa, Małgorzaty Killar, Franciszka Karpińskiego, Marii Konopnickiej, Władysława Sebyły i Juliusza Słowackiego.

Dodajmy jeszcze, że każdy tomik zawiera — oprócz utworów wybranych — wstęp pisany przez samego autora bądź przez wybitnego znawcę poezji, a na plastykowej okładce portret poety. (t)





KRZYŻÓWKA 23

POZIOMO: *1) chirurgiczny nożyk, 7) ogrodzenie kojarzące się z wsią, 9) na ślubnym się staje, 10) zawartość szlachetnego kruszcu w monecie, 11) może być kosmiczna, 12) między kotlinami Orawsko-Nowotarską i Liptowsko-Spiską, 15) przednia, honorowa, pożarna, 18) nie tylko nad i, 19) nieprzewidziana przerwa w pracy mechanicznej, 21) łódź stosowana przeważnie w krzyżówkach, 22) małokalibrowa broń sportowa, 23) upiększenie, 24) kochanek, 27) spiekota, 32) dyrektorska prawa ręka, 33) niski, rozgałęziony, 34) gromadzenie w jednym miejscu, 35) znajomość nauk, 36) czerwień z fioletem.*

PIONOWO: *1) tytułowy koń u Konopnickiej, 2) kawony, 3) miejsce do uderzenia na znak skruchy, 4) szpital wojenny, 5) towarzystwo — takie bardziej francuskie, 6) przemyt, 8) ocenia jakość wina, 13) umarł, niech żyje, 14) krótki utwór literacki, 15) namaszczenie monarchy w czasie koronacji, 16) kanalik dla płynu i gazu, 17) koronkowa ozdoba ubrania, 20) może być adwokacka i wytrzeźwień, 25) z rodziny bedłkowatych, 26) zachwianie równowagi nerwowej, 28) ryba w słodkiej wodzie, 29) samica ptaków łownych wodząca młode, także długo przechowywana wódka, 30) utajone szyderstwo, 31) prawo wyłącznego korzystania z wynalazku.*

Wśród czytelników, którzy do 10 sierpnia br. nadeślą rozwiązanie, losujemy 500-złotowy bon towarowy. Na kopercie lub karcie pocztowej (adres: „Przemiany", Kielce, pl. Obrońców Stalingradu 2) prosimy nakleić kupon zamieszczony na dole kolumny.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 22

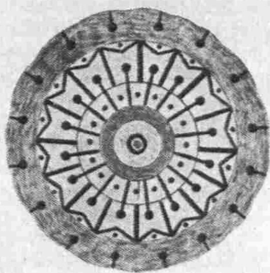
POZIOMO: *spór, kobiałka, akt, szansa, rozterka, plebejusz, Ewaryst, wdzianko, Zr, Kraksa, Pilica, ił, diagnoza, Jolanta, niewiedza, astronom, polepa, łan, kochanie, wikt.*

PIONOWO: *przyłądek, Oka, osocze, istota, koklusz, asceza, pułk, władza, Raszyn, tri, iglica, namiot, okład, oszczypek, kij, łożysko, idea, Gwidon, namowa, Antoni, Pan.*

NAGRODĘ (zegarek) wylosowaliśmy dla Stanisława Sosnowskiego z Włoszczowy, ul. Żwirki 24.

Miesięcznik społeczno-kulturalny. Redaguje zespół: Wiesław Barański, Władysław Grabka (sekretarz redakcji), Irena Jarosz, Henryk Papierniak (opracowanie graficzne), Bogdan Pasternak, Tadeusz Szwej (redaktor naczelny). Korekta: Lech Kowalczyk i Józef Sobieraj.
Adres redakcji: Kielce, pl. Obrońców Stalingradu 2, tel. 99-51.
Wydawca: Kieleckie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa", Kielce, pl. Obrońców Stalingradu 2. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres zgłoszonej prenumeraty przez wszystkie urzędy pocztowe i placówki „Ruchu" w całym kraju. Cena prenumeraty: kwartalna — zł 21, półroczna — zł 42, roczna — zł 84. Prenumeratę z wysyłką za granicę, w cenie o 40 proc. wyższej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO nr 1-6-100.024, tel. 20-46-88. Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w Dyrekcji Wojewódzkiej PUPiK „Ruch", Kielce, ul. M. Buczka 11, tel. 30-64.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" w Kielcach. Nakład: 17.000. L-2.

KUPON KRZYŻÓWKI 23

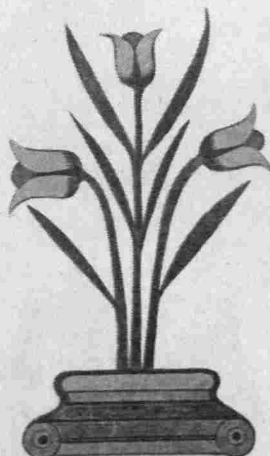


„Garść ziemi"

Dawno nie widzieliśmy książki wydanej własnym sumptem i własnoręcznie w płótno oprawionej, zachwalającej się tak skromnie, a przecież z szacunkiem dla swojej pracy i literatury. „— Są to próbki — pisze pan T. Michalski z Przedborza — mojego pisania, przeważnie o wsi kieleckiej. Na wsi się urodziłem, na wsi pracuję jako agronom gromadzki". Maszynopis ma tytuł „Garść ziemi" i takie na przykład wiersze:

Czy będzie urodzaj
na żyto
na owoc
to sztuka wróżenia
chłopska
ciekawość coroczna
modły o pogodę
zazdrość sąsiada
czekanie do
lata.

Książeczka w zielonej satynie nie naprasza się o druk czy recenzję, leży u nas, trzeba przeprosić autora, dość długo. Czas nie odjął jej tego, co nie jest cechą każdego amatorstwa w sztuce — potrzeby pisania, dodania do codziennej pracy próby zmierzenia jej słowem.



Trzeci numer „Pamiętnikarstwa"

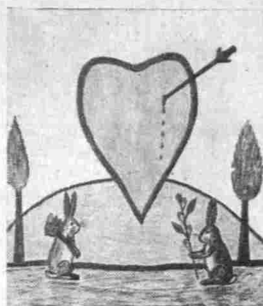
Przed miesiącem otrzymaliśmy poszerzony numer — kolejny trzeci, a pierwszy tegoroczny — kwartalnika „Pamiętnikarstwo Polskie". W szerokim wachlarzu tematów wspomnijmy tylko o niektórych. Jest więc fragment okupacyjnych wspomnień Alfreda Fiderkiewicza, jest artykuł Kazimierza Kutza („Pamiętniki i folklor w warsztacie twórcy filmowego"), który ukazuje autobiograficzno-pamiętnikarski i folklorystyczny rodowód obu głośnych śląskich filmów autora. Melchior Wańkowicz wspomina swe spotkania z pionierami starej Polonii amerykańsko-kanadyjskiej, natomiast dzisiejszą Polonię reprezentuje artykuł polskiego socjologa z USA, Konstantego Symonolewicza. O metodzie pamiętnikarskiej w naukach społecznych piszą Franciszek Jakubczak, Jurij Karpow z Nowosybirska i Joanna Landy-Tołwińska. Znajdujemy także kolejne głosy w cyklu warsztatowych wypowiedzi historyków o pamiętnikarstwie i epistolografii.

Ponadto — opracowanie Barbary Tryfan („Życie rodziny wiejskiej w świetle pamiętników kobiet"), głosy polemiczne dotyczące zasad opracowania pamiętników do druku, kronika ruchu pamiętnikarskiego, recenzja, dział bibliograficzny.

Powtórka mistrzów pejzażu

W niecodziennej scenerii odbywała się jedna z ostatnich sesji Powiatowej Rady Narodowej w Kielcach. O rozwoju kultury w powiecie dyskutowali radni, otoczeni ze wszystkich stron ludową rzeźbą i amatorskim malarstwem kieleckich robotników. Wystawa braci Półtoraków włączona została teraz z okazji „Dymarek-72" do prezentacji artystycznej twórczości w Nowej Słupi.

Z ekranów ekspozycji atakują widza pejzaż i rodzajowe scenki z kieleckiej wsi, przypominające układem kompozycji, techniką rysunku i nakładania koloru jakby Kotsisa, Chełmońskiego, Wyczółkowskiego. „Kopanie ziemniaków", olej Stefana Półtoraka, jego „W zagrodzie", „Odpoczynek oracza", obraz jego brata Remigiusza „Pejzaż znad Nidy", są transpozycją, amatorską aluzją do wzorów oglądanych w muzeum. To jest cechą twórczości obu braci, pracowników KZWM, członków istniejącego w Zakładach klubu artystów amatorów. Posłuszni rodzinnym zamiłowaniom, zdolni, oddają swój wolny czas próbom zmierzenia się ze sztuką profesjonalną, akademicką, mieszcząc w nich własne związki z regionem. Jest to w amatorskiej twórczości nurt nowszy od samorodnego niedzielnego malowania artystów ludowych, przykład czynnego uczestniczenia w kulturze, po etapie poznawania jej mistrzowskich wzorów.



Bukiet

Sandomierz jest cały autentyczny, od lochów po usypiska wiślanej skarpy, od Gostomianum po rzetelną i tkliwą rekonstrukcję każdej w rynku staromiejskiej cegły. Smakujemy ten jednolity kształt epoki, w której był najpiękniejszy, pilnując żeby nic nie zepsuło tandetnym dysonansem tego co się miastu od historii należy. I nagle w samym środku gierzei, w sklepie tzw. kolonialnym, ten bukiet na wystawie! Plecionka kosza, gałązka, listek, kwiat — wszystko sztuczne, z plastyku, XX-wiecznego tworzywa dobrego na wszystko. Spatynowane intensywnym słońcem, a nie brudne, nie zwiędłe, cieszą oko prawdziwe kwiaty polskie.

Bronimy się przed szmirą, nie lubimy plastykowych bibelotów, którymi obrotni producenci zaśmiecili każdy skrawek miejsca pusty od sztuki, strasznych paproci w doniczkach, które można uprać w „ixi", i udawać, że się kocha taką wygodną przyrodę. Ale sandomierski bukiet zrobił ktoś, kto naprawdę kwiaty lubi, może żałując, że te prawdziwe takie nietrwałe.

Uważajmy, puryści od sztuk wszelkich, na tym progu do XXI wieku. Nowoczesne tworzywo, jego prozaiczna obróbka, nie to jest złe w zdobnictwie i pamiątkarstwie. Kwiaty na wystawie sklepu w Sandomierzu nie udają, że są żywe, one — jak prymitywne malarstwo — przypominają piękno ogrodowego bukietu. To uczciwsze niż podłączane do elektrycznego kontaktu dziwy z prawdziwego jałowcowego korzenia.

Poczytaj mi, mamo

Pytał niedawno Smożewski w felietonie, kto posiada dziś sztukę głośnego czytania i zbiorowego słuchania książki. Czytania nie profesjonalnego, nie z estrady, nie z okienka, i słuchania nie selektywnego, a całym sercem, czynnie, razem. Rzecz tym, którym tak czytano kiedyś „Trylogię" w organistówkach i co innego gdzie indziej, nie wydawała się do odtworzenia; audiowizualne oprzyrządowanie coraz bardziej oddala od tego rodzaju dzielenia się drukowanym słowem. Tymczasem — czy tą refleksyjką nie wyprorokował dziennikarz jakiegoś kolejnego obrócenia się kulturalnego obyczaju? Bo oto w zwykłe popołudnie, w godzinach szczytu różnych „bloków" dla tzw. milusińskich, i to na Szydłówku, który ma dla dzieci zupełnie różny model zabijania wolnego czasu, usiadła przed niepięknym blokiem pani, wzięła książkę i czytała dzieciom coś, co na godziny wyciszyło całe osiedle.

Nie znam pani; nie ma etatu, bo z jakiej by tam nie istniejącej placówki. Nie wiem co czytała, bo takiego autentycznego wydarzenia oświatowego nie wypada ważyć profesjonalną dociekliwością. Po prostu — do życia dobijającego nas swym bogactwem ktoś dodał z własnej woli zupełnie proste, według niego potrzebne działanie.

Nawet jeśli to były proroctwa królowej Saby, nie zawadzi menażerom o tej imprezie podumać. Anonimowa, do statystyk nie wejdzie, ale jest społecznym faktem. Nie udawajmy, że do kogo i o czym ta mowa.



Citius Altius Fortius

26 sierpnia w stolicy Bawarii – Monachium zapłonie znicz jubileuszowych XX Igrzysk Olimpijskich. Mamy już za sobą pierwsze wzruszenia, radości i rozczarowania, eliminacji, zawodów kontrolnych, ustalenia reprezentacji. Jednakże największe przeżycia są jeszcze przed nami. Przecież aż do 10 września będziemy co dnia na ekranach telewizorów śledzić przebieg wydarzeń na olimpijskich arenach.

Ogromna moc tkwi w sporcie, a w najpiękniejszej jego imprezie, jaką są Igrzyska Olimpijskie, w szczególności. Walka o olimpijskie medale przysłoni w tym czasie nawet wydarzenia polityczne.

Olimpijski stół jest wielce obfity. Jest na nim w sumie przeszło tysiąc medali. Ale i olimpijskie apetyty wszystkich rywali wcale nie są najmniejsze. Jest zresztą tych rywali stale coraz więcej. ZSRR i USA, NRD i NRF – to dwie pary światowych potęg sportowych. Dalej już nie ma faworytów. Liczba krajów zdobywających medale i punkty rośnie z każdą olimpiadą. I tym razem będzie podobnie. O tym właśnie nie możemy zapominać oglądając olimpijskie zmagania naszych reprezentantów. Na ostatniej olimpiadzie zdobyliśmy 18 medali czyli o pięć mniej, niż na poprzedniej. Wcale nie dlatego, aby nasi sportowcy byli słabsi w Meksyku, niż w Tokio. Tym razem może, chociaż nie musi, być podobnie.

Jeszcze przed wyjazdem polskiej ekipy do Monachium mówiło się jasno, że wywalczenie przez reprezentację Polski 13–15 medali, będzie już osiągnięciem, będzie potwierdzeniem utrzymywania się polskiego sportu w czołówce światowej.

Z Tokio siedmiu Polaków wróciło ze złotymi medalami, z Meksyku już tylko pięciu. Teraz będziemy się cieszyć nawet z trzech lub czterech. Tylu możemy oczekiwać. Każdy medal ponad te plany będzie już miłą niespodzianką.

Nie sposób zapomnieć o tym, że na czas trwania Igrzysk Olimpijskich przed naszą erą, przerywano wojny. Skoro dziś, w czasie Igrzysk ery nowożytnej, nie jest to możliwe, niech więc chociaż przez te kilkanaście dni, nie tylko w Monachium, ale i w naszych dyskusjach i odczuciach olimpijskie idee znaczą więcej od różnobarwnych medali.





go i kulturalnego miasta; zbudowali okazałą rezydencję magnacką, miasto zaś w hołdzie wdzięczności przyjęło jako swój – rodowy herb Rawicz – „...panna rozczesana w koronie, ręce rozszerzone mając, na niedźwiedziu czarnem siedzi". W krótkich dziejach Księstwa Warszawskiego godłem miasta – tak jak i pozostałych na tym terytorium – był herb państwowy, w czasach Królestwa Kongresowego miastom nakazano legitymować się herbem „bardziej rosyjskim niż polskim". Lata międzywojenne nie przyniosły w tym względzie zasadniczej poprawy. W roku 1936 miasto Szczekociny wysłało –

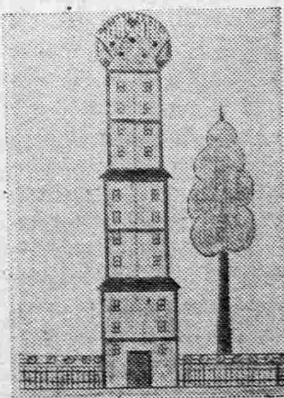
poetów

Jest to seria prezentująca wiersze najwybitniejszych poetów polskich i obcych – klasycznych i współczesnych. Wydaje ją Klub Poetycki Związku Młodzieży Wiejskiej, Redakcji „Nowej Wsi" i Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, a rozprowadza Powszechna Księgarnia Wysyłkowa wyłącznie drogą prenumeraty, której koszt wynosi 120 zł rocznie. Prenumeratę przyjmuje (kompletami półrocznymi lub rocznymi) wspomniana już Powszechna Księgarnia Wysyłkowa, Warszawa, ul. Nowolipie 4. Konto PKO – Warszawa, nr 153-6-900021.

W roku bieżącym ukażą się wiersze: George'a

rejo Jaworowa, Małgorzaty Killar, Franciszka Karpińskiego, Marii Konopnickiej, Władysława Sebyły i Juliusza Słowackiego.

Dodajmy jeszcze, że każdy tomik zawiera – oprócz utworów wybranych – wstęp pisany przez samego autora bądź przez wybitnego znawcę poezji, a na plastykowej okładce portret poet (t)



Miesięcznik społeczno-kulturalny. Redaguje zespół: Wiesław Barański, Władysław
dakcji), Irena Jarosz, Henryk Papierniak (opracowanie graficzne), Bogdan Pasternak
daktor naczelny). Korekta: Lech Kowalczyk i Józef Sobieraj.
Adres redakcji: Kielce, pl. Obrońców Stalingradu 2, tel. 99-51.
Wydawca: Kieleckie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa", Kielce, pl. Obrońców Sta
i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres
przez wszystkie urzędy pocztowe i placówki „Ruchu" w całym kraju. Cena prenumera
półroczna – zł 42, roczna – zł 84. Prenumeratę z wysyłką za granicę, w cenie o 40 proc. w
Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO nr
Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w Dyrekcji Wojewódzkiej PUPiK „Ruc
ka 11, tel. 30-64.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" w Kielcach. Nakład: 17.000. L-2.

Cena zł 7